

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 29 WRZEŚNIA 1928 ROKU

NR 40

TREŚĆ NUMERU: Obok życia — Z. Zaleska. Dlaczego kobietom brak odwagi — *Natalja Jastrzębska*. O apatii kobiet samotnych — *S. Borowska*. Poezje: „Pustynia”, „Szeherazada”, „Tysiąc i jedna noc” — *Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa*. Niepotrzebne wzruszenie (nowela) — *Herminja Naglerowa*. Baby (c. d.) — *A. Fag*. Bzik pani d'Estrailles (dok.) — *Maurice Renard*, przełożył *Gabryel KarSKI*. Mokotów — *Antoni Urbański*. Z teatrów — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu — *N. J.* Wystawa hodowlana w Wilnie — *Pani Elżbieta*. Targi wschodnie we Lwowie — *Janina Łada Walicka*. Estetyka wystawy sklepowej (c. d.) — *Helena Wolska*. Ciekawe wynalazki — *J. S.* Obiady na maszynie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Kostjumy jesienne — *Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Beniśławska*. Arkusz wzorów.

## OBOK ŻYCIA

Świadomość narodowa w czasach niewoli była fundamentem, o który rozbijały się wszelkie fale ucisku ze strony wrogich rządów. Te wszystkie formy działalności zbiorowej, których wymaga własne państwo, wówczas nieposiadane, przetwarzała myśl polska na energję odporu, przyzwyczajając się do życia w sferze oderwanej od codzienności, bądź cofając się do czasów minionych, bądź wybiegając naprzód wezwaniem „o wojnę powszechną za wolność ludów”. Życie codzienne, własna działalność, niemogąca otworzyć dla siebie pól szerokich, skierowana z konieczności do pracy w wąskim zakresie walki o byt, nie mogła stać się podłożem, z którego myśl czerpaćby mogła.

Nastąpiło rozłamianie się myśli i życia, szły one odrębnymi torami. Ludzi, którzy właśnie w życie chcieli i umieli przetwarzać swoje dążenia, mieliśmy znikomą garść. Od „codzienności” uciekało się „w literaturę” w malarstwo, w muzykę, w sferę marzenia o przyszłości, marzenia nie twórczego, nie tego, które szuka dróg, lecz tego, które czeka na jakąś cudowną lampę Aladyna.

To rozszczepienie się myśli i czynu pozostawiło swój ślad głęboki w naszej psychice. Tworzenie nowoczesnej świadomości narodowej natrafia co krok na brak zrozumienia, jaką wartość dla życia narodu przedstawia działalność przeciętnego obywatela, jego praca zawodowa, jego stosunek czynny do zjawisk życia zbiorowego. A przecież życie społeczeństwa kształtuje się, jako suma działań pojedynczych obywateli. Myśl zbiorowa jest przeciętną linią myślowych,

zakreślanych przez świadomość jednostek. Kto w swej świadomości nie wytworzył sobie poczucia, że jego życie jest częścią życia społeczeństwa, od którego wartości i poziomu zależy linja życia zbiorowego — ten stawia się poza jego nawiasem.

To właśnie zjawisko obserwować u nas można powszechnie: przeciętny obywatel ma psychologję widza — obserwuje rząd, władze, akcje publiczne różnego rodzaju, jako coś obcego, niezwiązanego z nim, niezależnego od jego woli i jego do nich stosunku. Równocześnie nie czuje się twórcą polskiej kultury. Twórcami są, według niego, literaci i artyści, uczeni i architekci, słowem tylko ci ludzie, których dzieła można czytać, czy widzieć. Ta cała „reszta”, czyli 27.000.000 ludzi, udziału w tem nie bierze. Fatalne nieporozumienie! Życie jednostek i ich rodzin — cały ten mikrokosmos, jaki stanowi zdobywanie środków utrzymania, gospodarowanie niemi, rozrywka po pracy, zainteresowania przeciętnego obywatela — to składa się na życie społeczeństwa, nie co innego. Wysiłki twórców kultury idą na marne, jeśli ich dzieła nie są przyswojone, wchłonięte przez ogół, jeśli ten ogół nie ustosunkuje się do nich czynnie, nie wytworzy jakiejś płaszczyzny, na której wpływy te mogłyby stać się zarzewiem energii twórczej.

Wartość człowieka polega nie na tem, co on głosi, lecz co tworzy życiem swoim. Z tego punktu trzeba patrzeć na życie jednostek, zwłaszcza gdy chodzi o życie warstw inteligentnych, z natury rzeczy — z wolą, czy bez woli — niosących odpowiedzialność za wartość narodu.

W naszej psychice wytworzyły się cechy niepożądane; bierność, tchórzostwo, egoizm wśród nich dominują. I w wyniku mamy przedewszystkiem przedział między inteligencją i ludem. Miejmy nadzieję, że zdoła go znieść rozwój oświaty powszechnej, zanim go całkowicie wykorzystają komuniści. Ale jest i drugi objaw fatalny: zubożenie umysłowe inteligencji, wytworzenie się typów, które poza swoją specjalnością nie mają własnego zdania i nie interesują się życiem kulturalnym, jako całością. Wynikiem tego jest uzewnętrznie nie się życia, ta jego płytkość, którą też przyjmują i warstwy pół, czy ćwierć inteligentne.

„Zagadnienie inteligencji“ — to klucz do zagadnienia całej kultury. Literatura, filozofja, sztuki piękne decydują o jej rozwoju i postępie, lub cofaniu się. I o miejscu między narodami. Nie było Polski na mapach Europy, gdy polska literatura, malarstwo, muzyka rzucały dumnie: jesteśmy! — Sienkiewicz, Chełmoński, Paderewski i Styka, Rejmont i Kossak, Przybyszewski, Kowalski — iluż ich było, którzy wtedy zagranicę mówili o Polsce! Armja i dyplomacja polska rzucała ostatnie ważne słowa tam, gdzie pierwsze wypowiedzieli twórcy polskiej kultury XIX wieku.

I w owe czasy inne było życie inteligencji przeciętnej w Polsce. Może uboższe materialnie, ale bogatsze treścią. Jakież to było święto, gdy z za kordonu przyszło „Wesele“ Wyspiańskiego, czytane głośno specjalnie zaproszonym gościom! Ile namiętnych dysput wywołał Klaczko, Morawski, L. St. Brzozowski! Każda nowa książka Prusa, Żeromskiego, Weysenhoffa, Struga, Sieroszewskiego wywoływała całe szpalty krytyk... czytywanych. Schodzono się na dobrą muzykę i śpiew, jak dziś na dancng. Dziś o muzyce rozprawia ze znajomością młodzież żydowska (nie zaniedbująca i sportów), gdy polska — omawia własne swoje „wyczyny“. Byłoby dobre i to, gdyby sport traktowano, jako konieczny, ale tylko — dodatek do całości harmonijnego rozwoju człowieka.

Pozatem jednak ton życia nadają dziś u nas politycy. Oczywiście, mowy być nie może, by w naszym społeczeństwie, mającem większy jeszcze odsetek „analfabetów obywatelskich“, niż literowych, umniejszać znaczenie, jakie musimy nadawać sprawom państwowym, ale... czy nie dzieje się to z jednoczesnem pogębieniem spraw innych? Musi być zachowana równowaga między poszczególnymi dziedzinami.

Żyjemy w środowisku, które stało się luźnym zlepkiem. Siły psychiczne, cementujące świadomość narodową, dziwnie się rozproszyły. Właściwie, przy obserwacji naszych środowisk, odnosi się wrażenie spójni mechanicznej. Jedynie organizacje, zwłaszcza wyznaniowe i polityczne, mają tę atmosferę łączności

wewnętrznej. Poza niemi nie odczuwa się dążenia do wytworzenia nowego współczesnego typu człowieka, idącego po linii swej twórczej mocy. Jest powierzchowne przeżuwanie myśli cudzych, nieszczerzy stosunek do sił, dźwigających tę nowoczesną kulturę polską, a przedewszystkiem — niesłychane lenistwo myśli i wrogość wewnętrzna w stosunku człowieka do człowieka.

Niema takiego człowieka, któryby nie chciał żyć w warunkach, odpowiadających maximum jego wymagań. Ale większość chce, by to przyszło „samo z siebie“, bez udziału w tym wyteżonym, rwącym naprzód, rytmie pracy, który cechuje społeczeństwa Zachodu. To samo jest w sferze myśli, które krążą naokół spraw codziennych, nie dostrzegając ich związku z tworzeniem nowoczesnej kultury narodowej. Nasi uczeni i działacze zdobywają sobie na kongresach zagranicznych uznanie i szacunek, artyści biorą nagrody i sławę, ale ich praca nie jest doceniana wśród swoich. Inteligencja polska — pomost, łączący szczyty z nizinami — rezygnuje dobrowolnie ze swej roli, staje się sama masą bierną, urabianą według sił przypadkowych. Mamy wprawdzie jednostki, rozumiejące groźbę takiej bierności. Ale życie współczesne kształtuje się nie przez, lecz — pomimo nich. I to może być tragedją inteligencji polskiej.

Wyjście z bierności — zawsze wskazane — staje się obecnie warunkiem niezbędnym dla rozwoju życia społecznego po linii narodowej. Nie można tworzyć kultury współczesnej w jakimś oderwaniu od podwalin, które zbudowały wieki przeszłe. Inteligencja polska nie może zasklepić się w wyłączności uprawiania tego, czy innego zawodu. Musi ogarniać całość kultury, by popularyzować ją wśród tych mas, które weszły na arenę dziejów z chwilą równości obywatelskiej. Masy te — wszystko jedno: świadomie czy nieświadomie — odbijają ton życia, atmosferę, ideologję, jaką przepojona jest inteligencja. Dzieje się to bez względu na istniejący przedział między temi warstwami narodu, na brak współżycia. I dlatego — czy chcemy, czy nie chcemy — jesteśmy odpowiedzialni za wpływ, jaki na nie wywieramy własnem życiem. Jeśli inteligent polski będzie stał dalej obok życia, umywając ręce od odpowiedzialności za jego poziom i kierunek, to rolę kierowników wezmą ludzie, obcy dążeniom narodowym i nierozumiejący przeszłości, którzy z tych mas uczynią materjalistów o wysuszonem sercu i mózgu, uznających tylko realne zdobycze. Materjalistów, którzy wogóle zaprzeczają inteligencji wszelkiej roli twórczej, odwrócą sprawdzian wartości.

To „wyjałowienie kultury“ stanowi groźbę poważną już obecnie.

Z. Zaleska.



NATALJA JASTRZĘBSKA

## DLACZEGO KOBIECIOM BRAK ODWAGI

Utarło się od wieków przekonanie, że odwaga jest zaletą i przywilejem mężczyzny.

Jeżeli kobieta, co jednak, przynajmniej, zdarzało się dość często, zasłynęła odwagą, spełniła jakiś czyn bohaterski,—pozostawało to w historii, jako fakt nadzwyczajnej wagi, jako wyjątek,

W Polsce było może tych wyjątków więcej, niż gdzieindziej. Dzieje nasze dostarczały, bowiem, do nich sporo okazji, zarówno przed, jak i po rozbiorach. Zawsze jednak, jeśli kobieta zachowała się w jakimś wypadku tak, jak *musiał*, pod grozą niesławy, zachować się *każdy* mężczyzna,—poczytywane jej było za zasługę to, co u niego uważano za przeciętny obowiązek.

W ten sposób wytworzyła się długowiekowa kultura i ukształtowała psychikę kobiecą. Nie miałyśmy obowiązku być odważnymi, przeciwnie: lękliwość i nieśmiałość miały być specjalnym wdziękiem kobiety.

Wytworzyło to psychicznie bardzo ciekawy amalgamat, który na zasadzie zawiłych i niezbyt jeszcze zbadanych praw dziedziczności—rodzinnej, narodowej i rasowej—w zmienionych zupełnie warunkach nowoczesnych odbija się dziś na postępowaniu kobiet w najrozmaitszych okolicznościach życiowych.

Pewnikiem jest, że każdy człowiek w pewnych warunkach może stać się bohaterem. Chwila zapału, nastrojów zbiorowy, często poczucie niebezpieczeństwa—wywołują utajone siły duchowe, dokonywują przedziwnych skojarzeń psychicznych, umożliwiając czyny, które w zwykłych chwilach nigdy nie zostałyby spełnione. Taką odwagę, a nawet bohaterstwo posiadają kobiety. Tej odwagi mieliśmy niezliczone przykłady, od najdawniejszych czasów do lat ostatnich, od obrony Trembowli do obrony Lwowa.

Zupełnie inne jednak jest nasze męstwo życia codziennego.

Poczucie odpowiedzialności za każdy czyn i za każde słowo, jasny stosunek wewnętrzny nie tylko do otoczenia, ale do siebie samej, mocne stanięcie na platformie własnego przekonania i zdanie sobie sprawy z faktu, że do wszystkiego, co mnie otacza i spotyka, odnoszę się bez lęku.

A to jest znacznie trudniejsze i tego nam poważnie brakuje.

Mówimy często, że kobiety są nerwowe. Nie lękliwe, tylko nerwowe.

Ta nerwowość jest właśnie psychicznym tchórzstwem.

Kobieta nerwowa może z narażeniem siebie ocalić komuś życie, jeśli to będzie czyn jednej chwili,

bez namysłu i pod wpływem gwałtownych pobudek emocjonalnych; ale ta sama osoba *lękać się* będzie, np. operacji; gorzej—odkładać nieraz do nieskończoności zwrócenie się do lekarza, bojąc się dowiedzieć, co jej jest; gorzej jeszcze: będzie się obawiała bólu głowy lub gardła, gdy ma jakieś pilne zajęcie, albo oczekiwaną rozrywkę!

Kobieta tego typu nie rozmówi się otwarcie z przyjaciółką, z którą poróżnił ją nietakt tejże, lub osób trzecich. A ileż razy nie zdobędzie się na odwagę szczerości w stosunku z najbliższymi, z mężem, dziećmi! Nie stanie w obronie swych przekonań. Brak jej odwagi, skrępowanej narzuconą od szeregu wieków kulturą nieśmiałości.

Ta lękliwość nerwowa wytwarza u kobiet, jak każda słabość, a więc ujemny czynnik psychiczny, różnorodne komplikacje.

Przedewszystkiem usposabia do kłamstwa.

Choć to brzydki wyraz, ale umiejmy go odważnie nazwać.

Przez to właśnie uczucie lękliwości nerwowej jakże często nie powie się prawdy, a ile razy zdarzy się powiedzieć nieprawdę!

Nie chodzi tu, rzecz prosta, o bezwzględne i szorstkie wypowiedzanie każdemu, co o nim lub o czemś myślimy, ale o szczerą, dzielny, honorowy stosunek własny do spraw, osób i okoliczności.

Stosunek, który może i powinien być kulturalny i delikatny, niemniej jednak oparty na prawdzie.

A niestety, często zdarza się inaczej!

Lękliwość ta odnosi się chyba jednak najwybitniej do poczucia własnej odpowiedzialności.

Tej boją się kobiety, jak ognia.

— Nie mówcie tylko, że to odemnie pochodzi. Owszem, zrobię wszystko, ale niech ja za nic nie odpowiadam; to już musi ktoś inny!—jakże często słyszy się podobne zdania!

Ileż razy kobieta bardzo łatwo powie coś o kim, powtórzy to drugiej i trzeciej osobie, ale tylko pod warunkiem absolutnej dyskrecji! Natomiast, gdy chodzi o ostrzeżenie kogoś o rzeczy nieraz istotnie ważnej, lub przynoszącej ujmę czci, gdzie jednak trzeba odsłonić swoją osobę i narazić ją na ewentualne przykrości i odpowiedzieć za siebie,—rzadko która z nas na to się odważy.

Ten brak odwagi własnych przekonań, brak gotowości pełnego w każdej chwili odpowiadania za swoje słowa i czyny, wytwarza największą przeszkodę w unormowaniu honorowej odpowiedzialności kobiet, tak obecnie forsowanej przez reformatorów kodeksu honorowego.

Wytwarza on jednak i inne ujemne czynniki w ogólnem odnoszeniu się do kobiety, jako wartości socjalnej. Przeszkadza również poważnie kobietom w ich walce o byt codzienny.

Wytwarza przede wszystkim brak zaufania do charakteru i pracy kobiet, gdyż zaufanie pokładane być może tylko w osobnikach silnych, dzielnych i posiadających wysokie poczucie własnej odpowiedzialności.

Czy możemy wysłać na zebranie z odpowiedzialnym mandatem kogoś, kto lęka się zabrać głos publicznie i boi się decyzji? Czy możemy powierzyć kierownicze stanowisko w fabryce, biurze i t. p. osobie, która wahać się będzie w stanowczem wypowiedzeniu swych dyrektyw i przeprowadzeniu ich i nie przyjmie za nie odpowiedzialności?

Kobieta pracuje sumiennie i dobrze, ale nie ma odwagi uwydatnić wartości swej pracy, przewyciężyć jakiegoś uprzedzenia, zareagować przeciwko doznanej niesprawiedliwości, upomnieć się o należne jej w tej pracy prawa! I zyskuje od razu opinię: bierna, niesamodzielna, pozbawiona inicjatywy, nieinteligentna!—nie może przewyciężyć lęku i okazać, że jest inna.

Chcę być dobrze zrozumiana: nie mam zamiaru przypisywać kobietom winy za to, że w ogromnej dziś jeszcze większości są takie. Wpłynęły na to, jak wyżej zaznaczam, całe wieki, w ten właśnie, a nie inny sposób kształtując nasz charakter. Ale trzeba właśnie zdać sobie z tego sprawę, zrozumieć to do głębi, bo to jest jedyna droga do gruntownej odmiany.

I trzeba nad tą odmianą pracować!

Każdy wie i przyzna kobietom, że potrafią być bohaterkami, narówni z mężczyznami iść do walki o wolność i wielkie ideały, poświęcać nawet dla nich

mężnie najwyższą dla kobiet wartość życiową — dzieci własne. Ale należy również uznać, że wiele racji mają ci, którzy twierdzą, iż w życiu codziennem kobiety lękają się stanąć twardo, mówić prawdę, przyjmując odpowiedzialność za to, co robią i mówią, i upomnieć się o swoje prawa.

Musimy tę kulturę w sobie wyrobić.

Jest to, naturalnie, długi i poważny wysiłek. Ale wysiłek możliwy.

Kulturę odwagi hodować musimy przede wszystkim wśród młodzieży. Warunki obecne dopomagają nam w tem znakomicie. Rozwój sportów, harcerstwo, wspólna nauka i zabawy chłopców i dziewcząt wyrabiają u tych ostatnich dzielność, zacierając dawne ostre różnice i konwenansową lęklivość kobiecą. Młodzież nasza, kobiety jutra, będą już napewno odważne i szczerze. Ale i te, które wzrosły w dawnych warunkach, mogą, pracując nad sobą, przewyciężyć siebie. Zacząć należy od rzeczy drobnych, codziennych, bo te właśnie są nieraz najtrudniejsze. Przełamywać konsekwentnie nieśmiałość, wymijanie prawdy; niezaniebywać pozornych drobiazgów, wypowiedzenia i postawienia każdej rzeczy tak, jak ona postawiona być powinna; a przede wszystkim — zwalczać nerwowe poczucie lęku i chorobliwej imaginacji wobec przewidywanych wypadków i okoliczności.

Starać się opanować wewnątrz. Wytworzyć w sobie poczucie własnej, uczciwej odpowiedzialności, opartej z jednej strony na umiłowaniu prawdy, z drugiej — na przekonaniu o swej wartości, jako jednostki, która prawdę tę nad wszystko ceni i w życiu praktykuje.

W imię tej miłości prawdy możemy stać się odważnymi.

S. BOROWSKA

## O APATJI KOBIET SAMOTNYCH

Warszawa roi się od kobiet samotnych. Niewiadomo, dlaczego jest ich tak dużo? Czy było ich mniej przed wojną? Czy też dawniej wrastały klinami do jakichś przyjaznych, choć cudzych ognisk domowych i zyskiwały w ten sposób coś, co było podobne do rodzinnego życia i czyniło te samotnice mniej samotnymi?

Nie ulega wątpliwości jednak, że dzisiaj Warszawa roi się od kobiet samotnych.

Mniejsza o przyczyny tego zjawiska, — biore sam fakt.

Polska tu, oczywiście, nie jest wyjątkiem.

Miałam niedawno sposobność poznania rodowitej holenderki, żony jednego z profesorów warszaw-

skiego uniwersytetu. Wróciła była właśnie ze swej pachnącej morzem i hiacyntami ojczyzny i żyła ciągle jeszcze wspomnieniami tamtejszych stosunków.

Przyglądałam się uważnie siwowłosej pani, o twarzy pogodnej i jasnej, tchnącej, mimo wieku, najprawdziwszą radością życia. Chciałam poprzez słowa i uśmiechy wyszarpnąć to coś, co czyni ją odrębną od nas, to coś, co Marcel Prévost nazywa „l'âme étrangère“, — to coś, co można podpatrzeć, czego można nauczyć się na pamięć, a co, mimo wszystko, pozostanie zagadką dla obcoziemca.

W przeciwieństwie do innych cudzoziemek, uważających zwykle Lechistan za krainę łez i wygnania, — pani B. kocha Polskę. Pracuje dla niej w miarę moż-

ności z radością i zapałem. Uwagi swe i poglądy formułuje krótko i jędrnie. Oto jeden z jej aforyzmów: „w Polsce trzeba cierpieć, aby być szczęśliwym“...

Nie wiem, czy ma na myśli nasze nałogowe, aż na stopień dostojeństwa wyśrubowane „cierpiętnictwo“, czy też poprostu warunki ekonomiczne, w jakich żyjemy, ale dodaje:

— A na całym świecie można być zwyczajnie szczęśliwym...

Zapytuję, czy kobieta holenderska przypomina w czemkolwiek polki.

— O, nie!—odpowiada pani B.,—jest zupełnie inna. Uczy się znacznie mniej, aniżeli polka, studja uniwersyteckie kobiet są rzadkiem zjawiskiem\*), ale ze swej wiedzy umie holenderka wyciągnąć należyta korzyść. Umie urządzić sobie życie. Polka tego nie potrafi.

Dowiaduję się w dalszym ciągu, że w Holandji jest także mnóstwo kobiet samotnych („oh, une masse, une massel..“): stare panny w wielkiej ilości, a także rozwódki, bo małżeństwo nie przedstawia tam większej gwarancji dozgonności, aniżeli u nas.

Młodzi holendrzy wyjeżdżają masami do swych kolonij, tam wstępują czasami w związki małżeńskie—skazując na staropanieństwo swe rodaczki, nie wydające się z kraju prawie nigdy.

Kobiety holenderskie nie martwią się tem zbyt, tak przynajmniej utrzymuje pani B. — Uniezależniły się od mężczyzn, stworzyły swe własne życie. Odsunięte w wielu wypadkach ręką losu od tak zwanych „istotnych i naturalnych celów i zadań kobiety“, umiały w tej sytuacji, której minusy są liczne i niczem pozornie niedające się skompensować, — doszukać się jakiegoś plusu, tym właśnie plusem się zadowolić i z niego ciągnąć dla siebie korzystne konsekwencje.

Plus ten — zastrzegam się — nie kompensuje minusów. Jest tylko jeden, podczas gdy minusów naliczylibyśmy lekko pół tuzina. Ale jest. Nazywa się „Wolność“.

Holenderka, jako kobieta samotna, buduje swe życie, stara się je uczynić przyjemnem, wygodnem, wypełnionem pracą owocną i miłą.

Prawda, pani B. dodaje mimochodem:

— Holandja jest bardzo bogata: ludzie czasem nie wiedzą poprostu, co robić z pieniędzmi.

O Polsce, niestety, tego powiedzieć nie można!

U nas kobieta samotna, to istota, przechodząca zawsze prawie obok życia.

Nie mam na myśli młodziutkich, wstępujących w świat istot, dla których jeszcze nic się nie zaczęło. Mówię o rzeszy pracownic umysłowych, biuralistek, urzędniczek, nauczycielek, mających za sobą już lata pracy; o tych kobietach, młodych jeszcze, a już zszarzałych i zmiętych; o tych pannach, co zwątpiły poniekąd o „przygodzie przez wielkie „P“; o tych słomianych wdowach, których mężowie zawieruszyli

się bezpowrotnie „in partibus infidelio“; o tym tłumie inteligentkiej biedy, co ma duże potrzeby kulturalne, a środki do zaspokajania ich minimalne; o tych istotach, co nieustannie cierpią z powodu dotkliwych braków, wyrzeczeń się i niedosytów.

Co uczyniły kobiety samotne w Polsce, aby w życie swe wnieść trochę słońca i dobrobytu?

Kobieta holenderska, żyjąca cprawda w innych warunkach ekonomicznych, stworzyła kluby różnych odcieni, o różnych celach, — kluby, t. j. instytucje, gdzie czuje się równie u siebie, jak w domu, a gdzie znajduje to, czego jej w domu braknie.

Odpowie ktoś może:

— Pieniądze, pieniądze...

Tak, niewątpliwie; ale czy tylko pieniądze? Czy nie przedewszystkiem wola w pewnym kierunku, czy nie, poprostu, wola życia?

Nie wchodzę w to, o jakich celach i zabarwieniach byłyby te kluby. Zależałoby to niewątpliwie od potrzeb i upodobań grupy kobiet, dany klub zakładających. Lecz sądzę, że przy każdym z nich byłaby czytelnia, — sala, dokąd można przyjść po dziennej pracy i znaleźć sto przeróżnych pism: codziennych, tygodników i miesięczników. To wszystko, co widuje się przez okna księgarni i w kioskach; to, co tak bardzo nęci oko i ciekawość, a czego nigdy, w granicach swego w tym kierunku apetytu, nabyć ani zaprenumerować nie można. A przecież w każdym z tych pism, jak w zwierciadélku, odbija się jakaś cząstka rozlewnego, współczesnego życia, z którego samotna, pracująca kobieta tak mało bierze, o którym nawet tak mało wie, a na które chciałyby przynajmniej spojrzeć przez okienko zadrukowanego, ilustrowanego arkusza!

Czy taka wędrówka w inne sfery myśli nie wpłynęłaby dodatnio na zmęczoną biuralistkę, nie izolowałaby jej psychicznie od fluidów szefowskich zgryźliwości, od biurowej, kurzem i dymem nasiąkłej, nudy, od codziennych trosk?..

Powie mi ktoś może, że oto, czytelnie są: na takiej to ulicy, pod takim numerem — jedna, gdzieś indziej druga...

Jeśli jest nawet i trzecia — jest ich za mało. Stanowczo za mało. A kobiet pracujących i samotnych wielkie mnóstwo.

Niechże spróbują organizować się, tworzyć coś dla własnego szczęścia.

Niech zaprotestują czynnie przeciwko temu, że w życiu ich nic się nie dzieje.

Niech przestaną kultywować apatię i melancholję, składać i rozkładać własne smuteczki, wdrażać się poniewoli w kult cierpiętnictwa i na ołtarzu tego bladego bóstwa składać nawet różowe kwiaty jabłoni, o ile taka kwietna gałązka padnie której kiedy wpoprzek drogi.

\*) dla ścisłości zaznaczam, że p. B. skończyła uniwersytet

LUCYNA KRZEMIENIECKA - WOLICOWA

PUSTYNIA

Wyczarowana, senna pustynia daleka,  
uśmiechnięta gronami drżących fig, daktyli...  
Wieczór, jak pomarańcza, złotem krwi ocieka,  
do wypłowiących piasków wielbłąd cień swój chyli.

Noc jest wyrocznią tęsknot, ociężałą snami,  
pasjanssem gwiezdny w nieba seledyn się wgarnia.  
Bóg rozwija sztandaru złotysty aksamit  
w cichym porcie, gdzie błyszczą księżycy latarnia.

Raz cię tylko widziałam, pustyni tajemna,  
rozedrganą palmami w chwiejnych cieniach oaz.  
Powtarzałaś to samo, co mówiły ze mną  
makówki, bzy, łopiany i szara stodoła.

SZEHerezada

W niebo wieczorne, jak w Księgi Koranu,  
pocięte złotymi słowami-gwiazdami,  
leżałeś wpatrzony na miękkich dywanach.  
Niewiernej Zulejki głos zamilkł. Czas zamilkł.

Napróżno kusily cię gaje pomarańcz,  
węzowe nargile kusily napróżno —  
jad zdrady był w tobie, w brzękadeł pogwarach  
i w trwożnych pokłonach tysiącznej twej służby.

I wiedzieć nie mogłeś, że w lśniące południe  
przywiedzie ci Allah dziewczynę — Nirwanę,  
co baśnie swe codzien zbierała u studni,  
zielenią swych zrenic wpatrzona w firmament.

TYSIĄC I JEDNA NOC

Spotkam cię kiedyś we śnie, Szeherezado,  
w tysiąc i jedną noc na wschodnim bazarze.  
Cicho zagada wiatr z gwarnego Bagdadu,  
odstłoni ci wąską rąbek poblądłej twarzy.

Będą nam pachnieć daktyle w barwnych wazach  
i dziką krwią nabrzmią, krągłe granaty.  
W oczach twych załśni tajemnic miłosnych oaza,  
usta twe strują mnie gorzkich migdałów kwiatem.

Będziesz lekarstwa szukać na wielki smutek  
u stuletniego wróżbiarza, mądrego Hassana.  
Wybierzesz maści miłosne, olejki zatrute  
i śmierć z nich wysączysz czerwona, jak żrały granat.

W dalekich meczetach rozszemrzą się modły szeptane,  
noc, zakwefiona siostrzyca, ku tobie się schyli.  
Rozzłocą się wzory na niebie, zaklętym dywanie,  
poczujesz w piersi szalonej księżycy sztylet.



HERMINJA NAGLEROWA

## NIEPOTRZEBNE WZRUSZENIE

(nowela)

Na placyku zaczerniło się, zakotłowało i krzyk chłopców, niby gradem, zasypał liście akacji.

Lucjan przystawał na schodach i patrzył, jak młody pośpiech rozpędza natłok. Byłby może zawołał:

— Uważnie! połamiecie nogi!

Tylko, że nogi migały, jak bicze, a ostatni maruder brał już krok za bramę. Plac stawał się wtedy odrazu cichy i przestronny, a żółtawe liście akacji, niby paluszkami, pluskały w niebieskim powietrzu.

Wtedy dopiero schodził Lucjan stopień po stopniu. Waga teki, wypchanej kajetami, ściągała w dół lewe ramię, i dlatego musiała prawa ręka naciskać mocniej laskę, złobiącą w szutrowaniu okrągłe dołki.

Lucjan nie śpieszył się. Nawet przystanął na chwilę i głębokim oddechem przyczesał chrypkę. Zapach wilgotnej ziemi szedł od trawnika, a wiatr pogładził powieki zielonym, miękkim jedwabiem. Radość cieplej, przewiewnej ciszy zatrzymywała na miejscu, aby się mogło na krótki moment we własnym sercu urzeczywistnić szczęście wiosny. Dostrzegało się wtedy brązowawe pączki nierozkwitłego jeszcze kwiatu akacji i płochliwe kędzierzawienie się trawy. Przy żelaznej sztachecie świerk obsypany był jaskrawymi świeczkami młodych pędów i nie mogło też ujść uwagi, że kasztan, wielki, rozparty gałęzmi, dmuchał różowym kwiatem, jak świeżym, gwałtuującym płomieniem.

Za bramą trzeba już było odrazu się przeinaczyć, bo napór ulicy wywoływał jakby chęć odwetu. Niewątpliwa była przecież zaborczość tych wszystkich, którzy szli naprzeciw, albo znienacka wypadali z za pleców Lucjana, aby wyprzedzić go zwycięskim krokiem. Wszyscy chcieli mieć jaknajwięcej miejsca dla siebie, dla swoich ramion, swoich paczek, lasek, parasoli. Godzili więc dotkliwymi ciosami łokci, albo brutalnie tratowali cień Lucjana. A on sam był jakby wdeptany w tłum i płaskim, kaczym chodem płatał się niziutko.

W domu chuda, wysoka pani doktorowa otwierała drzwi, mówiąc pobieżnie:

— Dzień dobry, panie profesorze!

Czasem dodawała mało warte słówko o pogodzie, a w ciemnym przedpokoju prawie nie widać było głowy pani doktorowej, opatulonej mrokiem, niby szarą chustką.

Lucjan stękał przy wieszaku, unosząc się na palcach, i szczebiotał uprzejme, składne odpowiedzi. Doktorową pognało tymczasem w głąb mieszkania

i ostatnich słów nikt już nie słuchał. Tyle, że zdanie było dopowiedziane do kropki.

Dopiero w swoim pokoju można było swobodnie wysapać trud wspinania się na trzecie piętro. W zielonawym lustrze rozgrzeszało się samego siebie łaskawym spojrzeniem. Nikt tu przecież nie mierzył wzrostu zwysoka.

Myjąc ręce, można już było potrochu myśleć o wpływie Trembeckiego na Mickiewicza i wspominać sprawy szkolne, krążące w żyłach, jak krew. Jednocześnie stwierdzał z niechęcią, że ręcznik jest jeszcze wilgotny od rana. Najwidoczniej musi się gdzieś po kątach czaić pleśń i dlatego ręcznik nie wysycha.

— Dorobię się tu jeszcze reumatyzmu!

Ale gdy Lucjan napychał fajkę, mógł się pocieszyć odrazu, bo tytoń był suchy i nie stracił smacznego, figowego zapachu.

Wtedy znowu na niedługi czas robiło się miło i przytulnie wśród sinych chmurek dymu. Wiedziało się wprawdzie, że w starych pluszowych fotelach tkwi ubity kurz, a za piecem zwisają płachty pajęczyny, ale zato kanwowy obrusik przewijał się girlandą bardzo różowych róż i karafka rzucała najczudniejszą tęczę na nierozcięty jeszcze „Miesięcznik Literacki”. Przez chwilę senność mleczną bielą napełniała żrenice.

Lecz do prawdziwej drzemki nigdy prawie nie dochodziło, bo właśnie głos doktorowej rozciągnął się po domu, niczem długi, brzęczący łańcuszek, a za ścianą panna Ewa zaśpiewała pełnym głosem:

— Mary Lou, Mary Lou...

Lucjan czuł ten śpiew na skórze, na karku, w końcach palców.

— Wyje, jakgdyby jej wrywano ząb!

Trzecia sublokatorka doktorowej, panna Felicja, przychodziła dopiero o czwartej i wtedy podawano obiad.

W jadalni dymił się wieczny zmierzch, niby śwąd przypalonego tłuszczu. Gdy się jadło zupę, wszyscy byli nasępieni, obcy sobie. Dzwoniły tylko łyżki i płyn ciągnął się w przełyku. Ale już przy mięsie zaczęły się kleić między zębami pierwsze słowa.

Panna Felicja przynosiła z ministerstwa niewiarogodne sensacje. Już, już wypowiedano wojnę, gabinety padały, sejm rozpędzano na cztery wiatry. Jej duże, czerwone usta, niby przełamana pieczęć, objawiały najskrytsze tajemnice stanu.

Doktorowa prychała wtedy, jak rozdrażniony kot, ganiąc zasadniczo wszystko, co się dzieje w kraju, a przewidując kataklizmy i wszelakie nieszczęścia

w jednym jedynym, iak trąba powietrzna świszczącem słowie: bolszewizm!

Trochę się sprzeczano na temat polityki, ale ostatecznie obie panie przebaczały sobie wzajem przekonania polityczne. Uśmiechały się wkońcu do siebie, mówiąc:

— Nie pobijemy się przecież o to!

Panna Ewa natomiast pogardzała wszelką polityką i wogóle w tych sprawach nie zabierała głosu. Stwierdziła jedynie, a propos mięsa, że pieczeń jest twarda.

Lucjan nawet nie usiłował o czemkolwiek opinjować. Jadł ostrożnie, kłapiąc sztuczną szczęką, jak katanjetami, zgrzytał nożem po talerzu i zatajał swoje myśli w pogardliwym zmruczeniu powiek.

Znał przecież śmieszność tych pań—poprostu, od rana do wieczora. Dzień ich zaczynał się zawsze tak samo od niecierpliwego pośpiechu, natarczywego dzwonienia na służącą, biegania po przedpokoju i bezczelnego trzaskania drzwiami. Gdy Lucjan o tej samej godzinie i minucie wychodził do szkoły, dom warczał jeszcze, jak motor, puszczany w ruch.

Ewa wołała poprzez drzwi i ściany:

— Panno Felicjo, proszę o rurkę!

Doktorowa chlupała pantoflami, brodząc po domu, jak czapla. Pęk kluczy alarmował przy szafach i kredensach, służąca pędziła rytmicznym galopem, że robił się przeciąg od furkotu spódnicy.

Na progu doktorowa dopadała jeszcze Lucjana.

— Panie profesorze, dziś sobota i obiad o pół do trzeciej. Proszę się nie spóźnić!

Niepotrzebnie przypominała mu to w każdą sobotę, skoro zawsze spóźniała się Ewa. Jeszcze na schodach słyszał śmiech tej dziewczyny, nagły, nieuzasadniony, rozsypujący się w przestrzeni. Mimowoli rozciągały się wargi Lucjana, niby także do śmiechu, lecz w sam czas skrzywił je karcący grymas.

— Głupia!

Zato Felicja nie śmiała się prawie nigdy, a jej czoło, ustrojone czarną grzywką, marszczyło się w roztopne fałdy. Nie było kwestji, którejby nie rozstrzygała schrypniętym altem.

Doktorowa i Ewa powierzały Felicji wszystkie swoje troski. Doktorowa mówiła:

— Mądra główka panny Felicji jakoś temu zaradził!

A Ewa entuzjazmowała się:

— Pani mi pomoże, pani taka mądra!

Gdy Lucjan przed rokiem zamieszkał u doktorowej, zapewniano go:

— Będzie się pan czuł, jak w rodzinie.

Pomyślał wtedy, że owszem — parujące ciepło małych, domowych spraw może być nieszkodliwe. Powiedział wprawdzie:

— Nie będę tu nikomu przeszkadzał; proszę się mną nie krępować!

Ale były to tylko grzeczne zwroty w konwencjonalnej rozmowie. Wistocie nie miał nic przeciw temu, żeby się coś zmieniło w jego życiu. Już nawet odczuwał ochotę do spełniania jakichś usług, a wszystkie słowa chciały być przydatne i życzliwe. Dobry, wiosenny wiatr rozplatał wtedy poły firanek i pchał w pokój jasność dnia. Lucjan powtórzył sobie, nie raz, nie dwa razy, to zapoznane, z całego życia żadną chęcią niewygarnięte słowo: rodzina. I już z całą gotowością przyjął ofiarowaną mu przynależność.

Rozumiał tak, że ma dobre prawo wtrącać się do rozmów, choć sens ich był jeszcze nieuchwytny. Wygłaszał sądy, zachwalał swoje doświadczenie, rozstrzygał z nauczycielskim patosem. Rozszastany w ukłonach, oddawał do dyspozycji swój wolny czas i swoją życiową zaradność.

Tymczasem jednak wszystko było nieważne i prawie niedostrzeżone. Mówił tylko do profilów, skamieniałych w obojętności, a słowa miały się, niby linje wichrowate, na wieki rozbiegłe w przestrzeni.

Trzeba więc było z leciutkiem zażenowaniem uznać, że zbyt jawne narzucanie się może uraża te panie i że raczej należy podkradać się, niczem pod zamknięte drzwi, pukając lekko, aby usłyszeć:

— Kto tam? Ah, to pan, panie Lucjanie! Prosimy, prosimy! niech się pan czuje, jak w domu, jak w rodzinie!

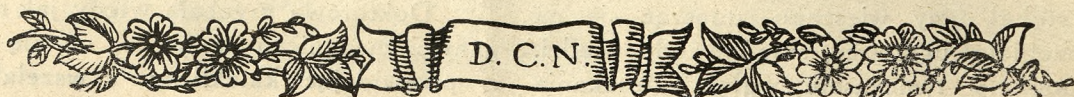
Nie było jednak uprzejmych zaprosin, a nieśmiałość trzymała za progim.

— Za wysokim progim — myślał zgębiony Lucjan.

Wiedział już teraz, że nie tak łatwo jest zdobyć sobie miejsce w rodzinie. Ale wcale nie miał zamiaru skapitulować. Są sposoby i sposobiki i jest się wreszcie kimś! Posiada się swoją męską ważność w obszarach życia, a ten kobiecy trójlistek coś niecoś powinien o tem wiedzieć.

Zęby wyszczerzały się więc radośnie, w gardle skrzypiał chichot nad zręcznym dowcipem, a komplement sływał, jak po maśle. Lecz tylko pobłażliwy uśmiech marszczył wargi tych pań, podczas gdy powieki mrugały sztywno, jak nad szklanemi źrenicami lalek.

Wistocie—jakgdyby nie było Lucjana, albo, jakgdyby nosił czapkę-niewidkę. Wreszcie po rozlicznych klęskach, tyle już tylko sam wiedział o sobie, że rozżalał się nad własnym niedołęstwem i stwierdzoną tu niepotrzebnością. Oczy stały się smutne, jak oczy żebraka, a mowa pokorna, jak przyznawanie się winowajcy do winy.





## B A B Y

### VI

Przed posterunkiem Nr. 4 pociąg zwolnił biegu; Józiek—znawca tajemnic kolejowych, wiedział wmg o wszystkim. Skręcali na południe: trzeba wyskakiwać. Oczyma wybierał miejsca najdogodniejsze.

Tu!

— Panno Zofjo!—krzyknął—proszę do wyjścia, słuchać się komendy!.. — Sam skoczył szczęśliwie — on mistrz w dziełach tego rodzaju. Potem biegł obok wolno sunącego pociągu. — Teraz—rozkazał—pochwyć panią! Raz, dwa, trzy!

Ale gdzie tam! Baba pozostanie babą. Złękła się nagle.—Boję się!—krzyknęła Józkowi, biegnącemu wzdłuż toru, — boję się!

Nie było czasu na zabawy; pociąg zwiększał szybkość. Ściągnął ją za rękę, niemal przemocą. Padła nań całym ciałem; przewróciła. Leżeli na ziemi, skrwawieni i potłuczeni, zasypani piaskiem, oszołomieni turkotem i zgrzytem pociągu, który obok nich, nad nimi przesunął się i szedł teraz ku odległościom krajobrazu.

Byli cali. Zadrapań, ran, skrwawień się nie liczy. Potłuczonych kolan także.

Nim trzęsła złość.

— To wszystko przez pannę! — krzyczał jej nad uchem—to przez pannę! Trzeba się było słuchać, nie grymasić, nie stroić babskich fochów! Jak się to powtórzy, to ją puści kantem. Jak Boga kochał puści ją kantem samopas, niech sobie sama radzi!

Oczekiwał znowu płaczu. Lecz nie, odwróciła się od niego i nachyliła głowę do kolana.

— Co się stało?! — spytał zatrwożony.

— Boli.

— Co?

— Kolano. Stłukłam je.

— Pokaż... niech je panna Zosia pokaże.

Nachylił się do jej nóg. Pończochy były porwane. Prawe kolano zdrapane. Czerwoną sznureczką płynęła krew.

— To nic — zaopinjował i, przypatrując się cicho młodzieńskim linjom jej dziewczęcej nogi, spytał. — Ile panna ma lat?

Odpowiedziała zdziwiona: — Szesnaście. Bo co?

— Bo nic. Pójdziemy. Trzeba nałożyć opatrunek...

Tak więc cały jego gniew spalił na panewce wobec jej zranionej nogi. — Trzeba być ludzkim — usprawiedliwiał się wobec samego siebie. — Nie czas teraz na wyrzuty.

Nałożył jej opatrunek — to znaczy związał kolano wilgotną chusteczką. Potem rozmawiał z dróżnikiem. Był to jego stary, stary znajomy.

Dobrze, postara się o herbatę. Wpuścić do mieszkania? Dobrze. Niech i tak będzie. Gdy ujrzał dolara, stał się ich zupełnym przyjacielem. Ofiarował im całe ciepło i cały przepych swej szczupłej, kolejowej budki.

Jest wdowcem. Dzieci są, ale daleko, w świecie... Samowar? Dobrze, da się zrobić. A pociąg? No, z pociągiem o wiele gorzej. O wiele...

Po długich naleganiach dała się wreszcie przekonać. Na twardej, drewnianej ławce położyła swe szczupłe, wymęczone ciało. Głowę położyła mu na kolanach.

— Niech panna zamknie oczy, już dziesiąta; może się uda przespać parę godzin.

Zgóry patrzył w jej twarz.

Rysy miała drobne, dziecinne jeszcze i na twarzy pełno piegów.

— Smarkata! — pomyślał sobie, — zupełnie smarkata. Jak się ona nazywa. Zosia! Hm, Zosia. No, zobaczymy.

Nie wiedział, co zrobić z lewą ręką. Nie mógł jej nigdzie umieścić i wkońcu musiał ją oprzeć na jej ramieniu. Uczynił to lekko i cichutko. Nie drgnęła nawet. Spała.

### VII

Po północy zastukał aparat Morse'a. Sygnalizowano nadchodzący parowóz.

— Wstawajcie! — krzyczał dróżnik — czas już, lokomotywa nadchodzi!

Podnosili się niechętnie, rozgrzani i otumanieni snem. Przyglądali się sobie zaspanemi oczyma.

Poza domem były: śnieg, gwiazdy i noc. Śnieg biały, złote gwiazdy i czarna noc. Szli torem, ku zwrotnicy; ziebli na mrozie, skupieni w trójkę koło czerwonej latarni, niespokojnie wyglądali nadchodzącej maszyny.

Idzie!

Tak, rzeczywiście, szła przez noc, ziejąc ogniem, hukiem i dymem. Zosia przez chwilę jeszcze zdążyła pomyśleć: co za piękno! — Ale zaraz nerwy zanurzyły ją w rzeczywistości. Ogień i światło były coraz bliżej. Pęd maszyny słabł, wobec czerwonej lampy dróżnika. Była już tuż, obok. Czarna, ogromna, łomocąca bryła. W świetle jej dwu lamp dojrzeli szczegóły. Ze wszystkich stron była oblepiona ludźmi. Stali, siedzieli, wisieli z przodu, na buforach. Z braku wagonów uczepili się tutaj. Było tam może ze 30 osób. Jak muchy na papierze, wisieli po obu jej bokach. Mali, zmarznięci, przylepieni. Nowych gości witano ogólnym protestem.

— Dokąd!—krzyczano—miejsz już niema!

Ale maszynista zwalniał biegu, bo wiedział: idą nowe dolary.—Józiek chwycił gdzieś prawą ręką, podciągnął, podniósł nogi. Już był na górze. Teraz nachylił się ku ziemi; nisko, najniżej chwycił ją za rękę.—Hop! — zakomenderował. Skoczyła; znalazła się obok niego, dysząca, przerażona, nieprzytomna.

— A to co?!—krzyczano dokoła — baba, dziewczyna, co za nowość!

Dał im się wygadać. Potem oświadczył:—Moja siostra. Przewodnicząca kółka komsomoła w I-em czerkaskim gimnazjum. Przedstawiam wam towarzysza—zaimprovizował z miejsca, pewny powodzenia.

Zamilkli, zresztą zapomnieli. Dość mieli swoich kłopotów.

Na \*spotkanie im szedł mróz; ostry, straszliwy wiatr stepu. A od środka, od lokomotywy biło ciepło; porzuconych w środek między żar maszyny, a chłód natury — chwytała ich febra i trzęsły nimi dreszcze. Kulili się, jak mogli, byle bliżej ognia, bliżej maszyny, bliżej gorąca. Tak oto pruli przestrzeń.

Dla Zosi wynalazł ułamek miejsca. Gdzieś, na jakimś arcymądrem zagięciu pancerza lokomotywy. Ale nie, ona uznawała tylko wspólne wygody. Po godzinie oświadczyła:—teraz ja postoję.—I postawiła na swoim.

Usiadł. Stała przed nim, opierając się o niego. Teraz, siedząc, był niższy od niej. Przycisnęli się do siebie, chcąc nawzajem udzielić sobie ciepła.

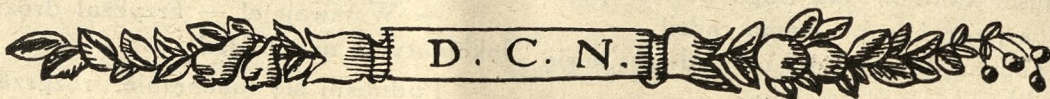
Schyliwszy głowę ku czemuś sukiennemu, co w gruncie rzeczy było nią — Zosią — pograżył się w półśnie.

Ocknęło go coś złego. Ktoś ścisnął mu rękę. To Zosia, odczuł od razu. Węszył oczyma. Wtedy zobaczył rzecz ohydną. Ogromny, chamski typ w krótkim półszubku i nasuniętej na oczy czapce, napastował ją brutalnie, po kawalersku. Przez szpary w powiekach widział jej bezsilną, bezskuteczną obronę. Rozumiał: nie chciała krzyżeć. Bo, zresztą, cóż on, mały chłopak, poradzi wobec takiego drania?!

— Poczekaj!—pomyślał—poczekaj, ty, sukin syn!.. ja cię nauczę!—Szedł na zwiady: co, gdzie, jak zaatakować...

— Skąd we mnie taka złość—usiłował jeszcze rozumować—co to mnie właściwie obchodzi?—Ale gdzie tam! Trzęsła nim wściekłość, gniew, gorączka... Zgrzytał zębami. Prawą ręką wyciągał z kieszeni scyzoryk. Czarny, stalowy „mercator“.—Już ja cię poczekaj, ty draniu jeden!—mówił do siebie. Wybrał miejsce. Obliczył, przeraził się nawet tego, co czyni. Ale kierowała nim jakaś siła przemożna, której się oprzeć nie potrafił.—Co ja robię?!—postawił sobie raz jeszcze pytanie. Ale już rękę podnosił. Jeden króciutki, błyskawiczny ruch... uderzenie... Uderzona nożem, a zaciśnięta dotąd dookoła poręczy, ręka rozwarła się raptownie. Józiek dobrze obliczył. Był to jedyny węzeł, łączący nieznanego z lokomotywą. Gdy go zbrakło, łączność ta została przecięta. Jakies ciało runęło w przestrzeń. Śród nocy zapalił się krzyk.

Byli śród nich i litościwi ludzie. Ale ani maszynista, ani większość pasażerów nie zamierzała zatrzymać się przez jednego człowieka.—Pewno zmarł—uzgodniono powszechną opinię.—Pewno zmarł — powtarzał Józiek. — Pewno zmarł — mówiła Zosia. Ale głos jej był pełen wątpliwości, przestrachu i zdumienia...



MAURICE RENARD

5)

## BZIK PANI D'ESTRAILLES

przełożył *Gabryel KarSKI*

Drzwi i okno były wciąż jeszcze rozwarte. W komnacie, gdzieśmy się były wtedy zatrzymały, ulewy i zawieje srogie pozostawiły ślady, i łącno było stwierdzić odwiedzin liczących gości pierzastych, albo czworonogich, z których jednego (dzikiego kota) zastaliśmy tam. Zwierzak, właśnie dogryzający resztek kruszki, przeraził się naszym przybyciem okrutnie, wyrzucił po drodze kilka przedmiotów, pierzając wielkimi susy, i pognał precz z izby do izby, ścigany przez Mirzę.

Pstra suknia zwieszała się na poręczy krzesła. Kędziorzysta peruka okrywała wazon alabastrowy. Na stole: trzy szklenice, dzban, do połowy napełniony wodą, opróżniona flaszka, nadgniłe owoce, obierzyny jabłek i gruszek, kilka plastrów miodu. Wszystko, plus minus, tak, jakiesmy byli ostawili. Fletnia wszelakoż zniknęła.

Domniemania moje precyzowały się. Zmieniły się w pewność, gdyżśmy dowiedziały się o losie markiza de Verluys.

Zastałyśmy go w jego sypialni, na łożu, jaknajrzetelniej martwego. Oszczędzę ci deskrypcji. Niechaj ci starczy wiedzieć, żeśmy rozpoznały go dostatecznie, mimo, iż zgon, tudzież krucy niezgorzej swą robotę wykonali. Tak, był-ci to ów ospowaty wielkolud, wspomniany przez pana de Maucroy.

Schwytaliśmy ramię pani d'Estrailles.

— Zabito go!—rzekłam.

— Czemuż bierzesz zawsze wszystko tragicznie?— zachnęła się z niejakim rozdrażnieniem. — Czemuż mniemasz, iż tego pana uśmiercono? Gwoli obrabowaniu go, nieprawda-ż? Owo, spojrzij. Ani sprzęta uszkodzonego, ani śladu włamania... Oto klejnoty w sepecie; złoto w tej oto sakiewce... Czy postrzegasz jaki ślad walki? Nieład? Ranę? Krew?... Pan de Verluys położył się był nakrótko przed zgonem. Spójrz owo na tę szlafmycę na jego głowie, na te trzewiki, starannie odstawione pod zydelkiem... Brak tu tylko szlafroka i peruki... Spójrz-no jeszcze: świeca przykryta gasidłem, modlitewnik spoczywa nad wezgłowiem. We śnie zaznał śmierci ten szczęśny śmiertelnik!

— W rzeczy samej...—zgodziłam się.—Ale w takim razie, ktoś wszedł do pałacu po jego śmierci...

— Z pewnością.

— Przechodzień, człek obcy...

— Albo ja wiem!

Powróciłyśmy do jadalni.

— Człek, który nas tu przyjął—podjęłam znów swoje—uśmiechał się przed zwierciadłem. Śmiał się z przybrania swego i peruki... I tak przedzierzgniętego zastałyśmy go... I skorzystał z okazji... Ludwiko... Ludwikol.. to musi być niechybnie jeden z owych łapserdaków, o których pani de Maucroy...

— Nie! — rzuciła rozsierdzonym głosem pani d'Estrailles. — Nie nalegaj, moja droga, proszę cię! Wiem, do licha! z kim owo mam sprawę w towarzystwie. Ten, komu... kto... słowem, ten, kto nas tu powitał, ten jest szlachetnego urodzenia, to ci powiadam. Skończmy już z tem.

— Daleka-m była od myśli trapienia cię, jednakże...

— Jednakże cóż jeszcze?

Drażniły mię te sprzeczności. Rzeczywistość, w mojem pojęciu, była tak jasna, iż negowanie jej, z jakichkolwiek motywów, było mi wręcz nieznośne.

— Nie widziałyśmy jego włosów, ani uszu — zauważyłam zjadliwie.—Skrywała je peruka. Któż ci dowiedzie, iż nie ma on włosów kędzierzawych i uszu, przesytych barbarzyńskimi pierścieniami?... Takoz i nóg jego nie widziałyśmy, dzięki owej powłóczystej szacie. Zachował był swe afryckie papucie! Wspomnij, jak skwapliwie jął się kijaszka, by odegnąć Mirzę, kiedy mu się dobierała do łydekl..

Pani d'Estrailles pojrzała ku mnie z ponad tomu Metamorfoz, których kartki, wiatrem przewracane, obzierała kolejno. Wybuchnęła śmiechem. Ja przygryzłam sobie warg... Ani słowa — wiedziała-ć ona lepiej odemnie, co było pod peruką i pod suknią. Purpura sromu oblała mi czoło.

— Cóż uczynimy?—zagadnęłam żywo.

— Powiadomimy towarzystwo w Rouvres o tem, że markiz jest martwy, i że takowym zastałyśmy go, przybywszy doń w odwiedzinę. Powiemy, iż zmarło mu się między jedną naszą, a drugą do Verluisier'y wizytą.

Istotnie, to było najprostsze.

Lecz, gdy tak mówiła, pani d'Estrailles żywo badała błotne tropy, znaczące się na posadzce i na kobiercu. Mnogość ich tam była wielka, śladów łap i szponów, twardych pazurów i lekkich, rozwidlonych kopytek. Nijakich śladów człowieczych—krom naszych, całkiem świeżych, co zdało się wskazywać, iż nieznamy nie bawił długo w pałacu po naszym odejściu.

— Owo, wielki jeleni był tu — rzekłam, spojrzawszy niedbale na trop, który mi ukazywała Ludwika.

— Jeleni? Wcale nie. Gdybyś nie była tak ciemna w kunszcie łowieckim, dostrzegłabyś, iż te duże, krótkie ślady, które mienisz tropem dwunastaka, mają coś niezwyčajnego...

— Cóż takiego?—zapytałam, dość zaintrygowana wyrazem jej oblicza.

— Są to—oświadczyła—nogi kozła, i tylko zadnie jego skoki. Szukanie przednich daremny byłoby mozołem.

Patrzała ku mnie oko w oko, smakując moje zdumienie. Widziałam teraz, ku czemu wiodła...

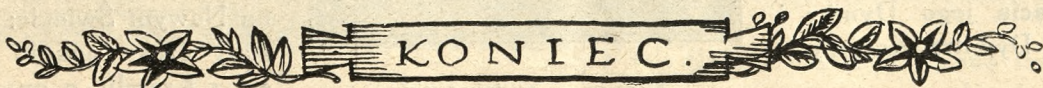
— Ludwiko!—zawołałam.—Masz bzika!

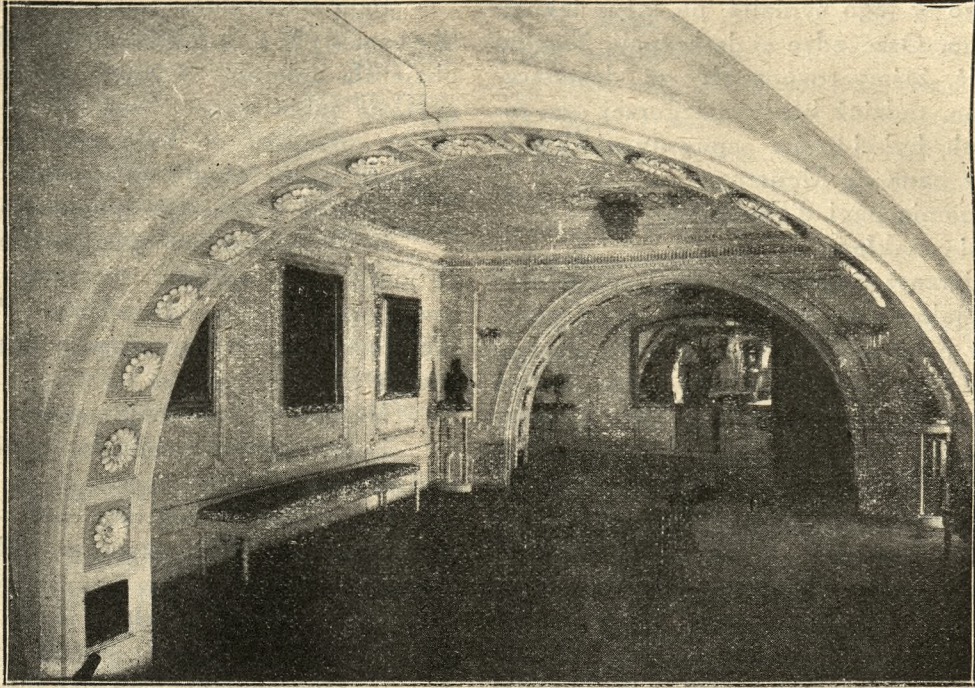
Lecz, porzuciwszy już tamtą materję, pani d'Estrailles rzekła mi:

— Może zabierzemy tę książkę in memoriam całej tej przygody? Nie skrzywdzimy zbyt spado-bierców markiza...

Mówiła o Owidjuszowych Metamorfozach. I aby już żadnej nie zostało we mnie wątpliwości o tem, co mi podawała ku rozumieniu, wskazała mi rycinę, przedstawiającą, jako Syrinx, jeszcze niewiasta, a już trzcina, takowym fortelem umyka przed pościgiem bożka Pana.

Gdybym ci rzekła, iż się w onym momencie z głębi boru ozwała fletnia, nie uwierzysz mi. I, dajlibóg, nie śmiem ci tego mówić, gdyż właśnie akwilon, zerwawszy się, tak żywy zgiełk czynił, iż się w nim wszelakich możliwych dosłuchać można było odgłosów; a doprawdy wtedy fletnia ta ozwała się zbyt czule trafiając w sedno, bym ręczyć mogła, iż to był śpiew z zewnątrz...





Mokotów — wnętrze salonu Szujskich

ANTONI URBAŃSKI

## MOKOTÓW

Poza rogatką mokotowską, na krawędzi wyniosłego brzegu Wisły, leży przedmieście Warszawy, Mokotów. Jest to dawna osada, założona prawdopodobnie już w epoce historycznej, wśród puszczy, okalającej Warszawę.

Była to wieś książęca, posiadająca rozległy obszar, który częściowo książęta rozdawali różnym osobom. Jan, ks. czerski i warszawski, darował swego czasu Mokotów swemu dworzanie, Wawrzyńcowi. Potem stanowił Mokotów część starostwa warszawskiego, wreszcie stał się siedzibą niejakiego Burbacha, kupca gdańskiego. Za Burbacha stanął w Mokotowie dworzec obszerny z komnatami sklepieniami, z oknami w ołów oprawnymi i z sienią ponurą, a w kolczugi i rohatyny zdobną.

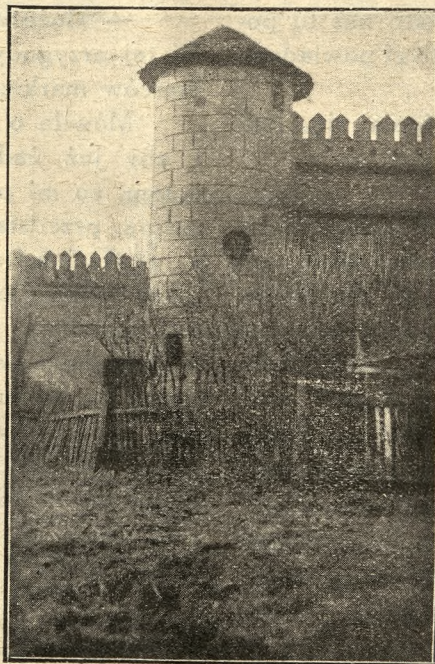
W owej sieni mokotowskiego dworca powitał kiedyś Burbach niebylejakich gości, bo carów Szujskich. To było wtedy, gdy hetman Żółkiewski po Kłuszyńskiej bitwie wziął Szujskich do niewoli i do Warszawy sprowadził. Przybyli więc: car Wasyl Szujski, bracia jego Dymitr i Iwan, oraz żona Dymitra, Katarzyna Szujka.

Kroniki milczą, poco właściwie Burbach witał onych Szujskich w Mokotowie, tak się jednak stało. Siedzieli więc Szujscy dość długo w dworzyszczu Burbachowem i jedli z mis cynowych, otuleni w szuby sobolowe, przez Burbacha im darowane. A przez szyby butelkowe, w ołów oprawne, patrzyli na Wisłę i za Kremlinem wzdychali. Komnata Szujskich po dziś dzień w Mokotowie się przechowała. Jest to ponura, sklepienna świetlica, w różycie zdobna.

Potem Zygmunt III rozkazał przewieźć Szujskich do Gostynina, nad rzeką Skrwą. Tu siedzieli w ośmiobocznych wieżach narożnych, tu spisywali swe dzieje, znowuż o Kremlinie rozmyślając, tu też pomarli. Początkowo zmarł car, potem bracia, wreszcie zmarła Katarzyna Szujka.

Wówczas Zygmunt III sprowadził zwłoki Szujskich do Warszawy, pochował ich tam, gdzie teraz mamy pałac Staszycy i wystawił nad nimi kaplicę.

Leżeli tedy czas jakiś Szujscy na Nowym Świecie; gdy jednak nastały czasy pokoju z Moskwą, to się z Kremlu o onych carów upo-



Mokotów — najstarsza wieża

mniano. Nie robiono w Warszawie trudności i wnet Szujscy z Nowego Świata do Kremlu przejechali. Tam ich w podziemiach bojarów pogrzebano. W Mokotowie jedynie pozostało wspomnienie z pobytu carów; a że fortuna kołem się toczy, więc nad ponurą, sklepioną świetlicą Szujskich zajaśniał wkrótce pałac, co kolejno przechodził do różnych właścicieli, wreszcie stał się eremitorium i ukojeniem ks. Marszałkowej z Czartoryskich Lubomirskiej.

Ks. Marszałkowa, to przecie ona pani, co miała Łañcut, Brzeżany, Szarogród, Wiśnicz i jeszcze włości mnogie. Chciała mieć jeszcze eremitorium, takie „petit Trianon“ pod Warszawą, i wystawiła willę cudną nad Szujskich komnatą ponurą. Były tu wtedy w Mokotowie łabędzie, codziennie pudrowane, i były wieże, gdzie pono siedzieli zakłęci rycerze.

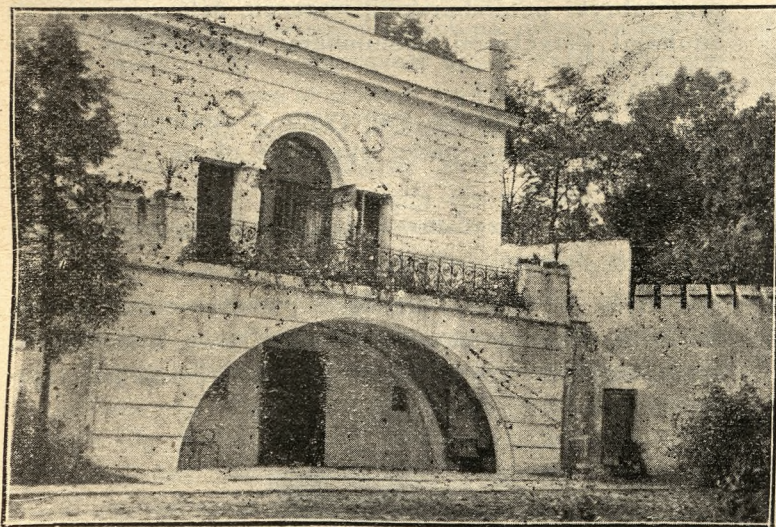
Stać było na zakłętego rycerza księżnę Marszałkową z Czartoryskich Lubomirską.

Ją przecie podziwiał Fryderyk Wielki, i Ludwik XV, i Talleyrand, i Wolfgang Goethe.

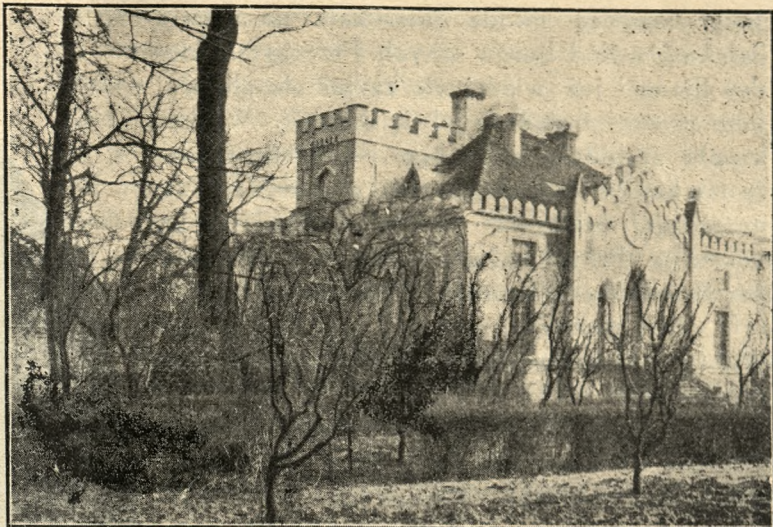
Ją przecie malował Greuze, Raphaël, Mengs, Lampi, Bacciarelli; malowała Angelica Kaufman i sama pani Vigée Lebrun.

U niej w Paryżu na salonach bywał sam Jean Jacques Rousseau. Jej nie chciał wypuścić z Louvru wartownik, bo myślał, że Venus we własnej osobie wymyka się z sal muzealnych.

Ona więc księżna Marszałkowa mieszkała czasem w Mokotowie, a wtedy ku pałacowi, o blankach i wieży, podążał czasem sam król Staś. Jechał od Łazienek do Mokotowa łodzią, w kwiaty i festony przybraną. Jechał przez kanał o wodzie bystrej, co szedł przez Sielec do eremitorium mokotowskiego. Podjeżdżał pod arkady ukwiecone i na tarasie witany był przez kuzynkę, co w oczy pana Stasiowe patrzyła, jak w tęczę.



Mokotów — pałac od ogrodu



Mokotów — ogólny widok pałacu

Mama Geoffrin w swych memoirach powie, że „nad miarę przyjaźni nic się tam nie działo“. Świetnie, niech więc pozostanie wspomnienie przyjaźni w mokotowskim eremitorium.

A były podówczas w tem eremitorium dziwy. Były drzewa, jako baszty sklepione, były półkryża z misterną siecią chodników, były delfiny, wyrzucające z paszcz wodotryski, były posągi Neptuna, Herkulesa. Było to ustronie, nazwane wówczas „jardin moral“, a wyszydzone trochę w pieśni przez biskupa Krasickiego, gdy ten powie, że tu były i Djanny, i wanny.

W eremitorium odbywały się wtedy festyny. To był szereg nieprzerwany szlichtad, iluminacji. Kiedyś, w dzień imienin króla Stasiowych, powitały go w Mokotowie cnoty. Takie sobie, na rydwanach usadowione, cnoty. Na jednym rydwanie siedziały cnoty chrześcijańskie, na drugim—pogańskie. Na pierwszym siedziała Wstrzemięźliwość, na drugim, oczywiście, usadowiła się Wenus, a przy niej jegomość Kupido. Tak było w Mokotowie za księżny Marszałkowej. Potem się tu pocios przyplątała hr. Karolowa Thomatysowa. To taka pani, co cudnie śpiewała i której mąż cudnie grał, lecz nie na żadnym instrumencie, a w karty. Taka pani, co to jej nie wolno było siedzieć po bok innych pań z society, wolno jej było jeno wisieć pobok tych pań w Łazienkach królewskich.

Miał potem Mokotów za mieszkankę hr. Stanisławową Potocką, córkę księżny Marszałkowej Lubomirskiej. Wówczas w pałacu kwitło zamiłowanie do nauk i sztuk pięknych. Nastrój poważny zastąpiły tu dawne festyny.

Po hr. Stanisławowej Potockiej zamieszkała tu jej synowa, hr. Dunin-Wąsowiczowa. Ją znamy dobrze ze ślicznego pamiętnika, który po sobie pozostawiła.

Była to dawniej śliczna Anetka Tyszkiewiczówna, siostrzenica ks. Józefa Poniatowskiego.

Jako dziewczę młode mieszkała na Litwie dalekiej, wśród borów sinych. Przeczytała kiedyś Iliadę i już więcej nic czytać nie chciała. Jeno rycerze trojańscy jej się marzyli. Wyczekiwała Achillesa wrzącego i nadzieję miała, że ten kiedyś do Białegostoku przyjedzie. Tak oczekując, usłyszała kiedyś daleką trąbkę pocztową. Przyjechał nie Achilles, a Aleksander Potocki z Wilanowa. Siostrzenica ks. Józefa czule powitała rycerza napoleońskiego. Wnet się pobrali i w Wilanowie początkowo zamieszkali.

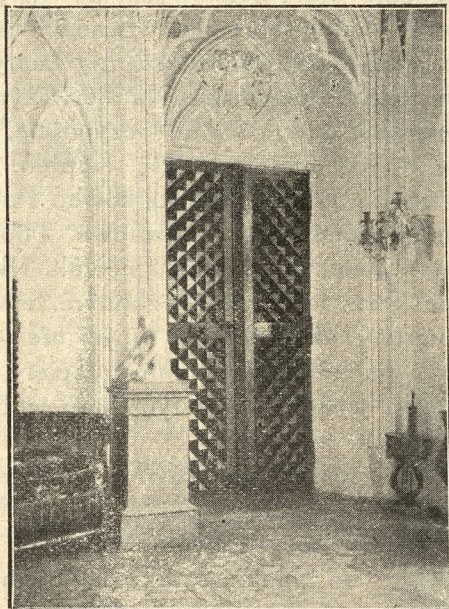
Nie była szczęśliwą w miłości siostrzenica księcia Pepi. Napisała kiedyś do siebie samej list miłosny. Potem list do dziupli drzewa pomarańczowego włożyła. To dla wzbudzenia zazdrości w małżonku. List przyłapała teściowa i sprawiła trzęsienie ziemi, jak to teściowe czasem umieją.

Potem Anetka wyszła za hr. Dunin-Wąsowicza i długo w pałacu mokotowskim mieszkała. Wreszcie sprzedała go w 1845 roku Franciszkowi Szustrowi. W ręku rodziny Szustrów jest pałac po dziś dzień. Pamiątki dawnej, świetnej przeszłości szczerze się tu przechowują. Wszędzie masz wspomnienia Marszałkowej Lubomirskiej i pani Dunin-Wąsowiczowej.

Jest w całości zachowana sklepiona sala po Burbachu i po Szujskich. W niej śliczne



Księżna marszałkowa z Czartoryskich Lubomirska



Mokotów — sala główna gotycka

meble z porcelany saskiej i stare obrazy. Dalej salon z serwantkami i majoliką rzadką. A na górze pokój z galerją gotycką, pokój gobelinowy z cudną acupikturą fabryki petersburskiej; wreszcie sala ogromna ze stiukami gotyckimi, kolumnami rzeźbionymi i konsolami.

W niej posadzka wzorzysta z mahoniem i drzwi rzeźbione w romby, nader misternie okute. U stiuków marmury białe.

Tak się przedstawia pałac w Mokotowie, Mokotowem dawniej zwany.

Były w Mokotowie łosie i niedźwiedzie, potem Burbach, Szujscy carowie, Marszałkowa Lubomirska, siostrzenica ks. Pepi p. Wąsowiczowa, wreszcie patrycjuszowska rodzina Szustrów,



## Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Dziękuję za służbę“ — komedia w trzech aktach Włodzimirza Perzyńskiego. Reżyserja Emila Chaberskiego. Dekoracje Wincentego Drabińskiego

Uświęcenie stanowiska matki w rodzinie, czołobitne uznawanie jej ofiarności i opiekuństwa bywa często jedynie frazeologią. „Rządy“ matki w ognisku domowym są bowiem zazwyczaj ciężką i niewdzięczną służbą dla innych, w której kobieta musi przekreślić swoją indywidualność, rozdzielić się, rozmienić na drobną monetę powszednich i najpowszedniejszych spraw.

Pociechą dla matki jest jej poczucie — potrzeby. Potrzebna jest mężowi, potrzebna dzieciom, jako piastunka, a potem, gdy dorosną, jako przyjaciółka i doradczyni. Mówią więc matki: „Żyję dla moich dzieci!“ Albo, gdy są szczęśliwe w małżeństwie, mówią: „Żyję tylko dla mojej rodziny!“ Jest to wiele i jest zamało dla człowieka.

Dziś kobieta-matka wyszła już poniekąd poza zakłętą koło rodzinnych spraw i ma swoje własne życie na szerszym terenie jakiegokolwiek bądź pracy pozadomowej. Ale właśnie dlatego spotyka się niezmiernie rzadko z potępieniem. Zarzucają jej, że zaniedbuje rodzinę dla swoich egoistycznych ambicji, że nie spełnia swojego wielkiego i prześwietłego zadania matki.

Stąd też urosło już dziś stanowisko matki do wysokości — problemu, którego jednostkowym przykładem rozwiązać niepodobna. Kobieta, kochana przez męża, uwielbiana przez dzieci, może być mimo to nieszczęśliwa w niewolniczej służbie dla rodziny, albo może mieć wyrzuty sumienia, gdy się całkowicie nie poświęca swoim najbliższym. Są to jednak dramaty ciche, wewnętrznie nurtujące, przez nikogo niedoceniane. I tak właśnie — rozbudzone człowieczeństwo kobiety stało się jeszcze jedną krzywdą społeczną! Zaszliśmy jakgdyby w ślepią uliczkę, z której mogłaby nas jedynie wyprowadzić odrobina ustępliwości ze strony mężczyzny. Tymczasem nawet najszlachetniejszy mężczyzna trwa w swoim tradycyjnym władztwie i domaga się od kobiety służbistości, samowyrzeczenia. Egocentryzm mężczyzny zdaje się być nieuleczalną chorobą, i dlatego nigdy nie ustanie walka kobiety o prawo człowieka.

Ale są jeszcze inne tragedje kobiet, nie wynikające wcale z kwestji równouprawnienia ludzkiego. Nie wszystkie zresztą kobiety przekroczyły próg domowy, aby zdobyć sobie miejsce przy warsztacie pracy pozadomowej. Są jeszcze masy kobiet, wyłącznie żyjących dla swojej rodziny, nie uznających innej pozycji życiowej nad stanowisko żony i matki. Takie kobiety są zapewne najszczęśliwsze, gdy ich służba jest szczerze opłacana wdzięcznością i serdecznością najbliższych. Ale — taka kobieta także najsilniej odczuwa

swoją krzywdę, gdy dorosłe dzieci wyzwalają się z pod jej kierownictwa, gdy staje się zbędna jej usługa, jej drobna codzienna zapobiegliwość. Te „typowe kobiety“ przeżywają najsmutniejsze dramaty, rozwijające się właśnie na podłożu zasadniczych nieporozumień rodzinnych. Wtedy zapóźno budzi się w nich ambicja poniżonego człowieczeństwa. Wszystkie lata pracy dla rodziny, cały ten trud życia, uskładany z wielorakich ofiar, staje się jakby ostateczną, nieodwołalną przegrana.

Komedia Perzyńskiego „Dziękuję za służbę“ zajmuje się właśnie takim dramatycznym zawikłaniem, z którego bohaterka wydobywa się — powiedziec można — w sam czas. Jest bowiem jeszcze dostatecznie młoda, by zacząć własne życie i znaleźć w tem życiu trochę własnego szczęścia.

Ibsenowska Nora opuszcza dom męża i swoje nieletnie dzieci z powodu nieporozumień, wyrosłych na tle zakłamań etycznych. Anna Perzyńskiego ma powody więcej realne, choć napozór uwidoczniające się tylko w dialektycznej rozgrywce słów. Z dialogów między matką a córką, żoną a mężem, matką i synem — wyrysowuje się beznadziejność bytowania Anny wśród rodziny. Perzyński świetnie skonkretyzował typy: męża-egoisty, tetryka, złośliwca, mizogina, potwora o rysach prawie strindbergowskich; córkę bezwzględną, arogancką, przemądrzałą i życiowo zachłanną; syna-nicponia, rozpróżnionego bęcwała. Wszyscy na swój sposób posługują się matką, mając ją sobie za nic.

W tem piekle domowym, w tem zbiorowisku egoistów, dojrzewa w Annie powoli zrozumienie, że jej służba nikomu nie jest już potrzebna. „Do tej pory żyłam dla was wszystkich. Ale widzę, że to już niepotrzebne. Nawet, gdy najostrożniej chcę się do waszych myśli zbliżyć, zaraz mnie odpychacie. Cóż mam zrobić? Spróbuję żyć dla siebie“.

Nie jest to zwyczajne nieporozumienie między starymi, a młodymi, choć są to dwa światy odrębne, mijające się, niby linje wchrowate: świat wyzysku i świat niepotrzebnej ofiarności. I dlatego dobrze jest, że skrzywdzony i lekceważony człowiek buntuje się i zwycięża — dla siebie,

Anna odchodzi z domu już w pierwszym akcie. Jest to konkluzja dawniejszych namysłów i rozważań nad sobą i swoim stosunkiem do rodziny, a zaprezentowane nam zajście rodzinne jest już tylko tą ostatnią kroplą, która przebrała miarę: „Nie jestem wam potrzebna ani w ważnych rzeczach, ani w drobiazgach“ — więc — „dziękuję za służbę!“

Autor sądził jednak, że decyzja Anny nie jest jeszcze dostatecznie uzasadniona. Po tem, co zaszło w pierwszym akcie, mógłby widzieć część winy zwać na Annę, nazbyt przeczułoną, zdenerwowaną nieodpowiedniemi zaręczynami córki. Postanowił więc utwierdzić nas w sympatji dla bohaterki i w tym celu mocniej podkreślić ujemne cechy męża i dzieci. Dalsze

dwa akty stały się przeto jakgdyby uzasadnieniem i jaskrawszem podmalowaniem tła — *ex post*. Stąd też po bardzo dobrym akcie pierwszym następuje osłabienie akcji, jakby dreptanie w miejscu. Problem staje się anegdotą, typy karykaturzeją, a motyw romantyczny, zjawiający się w drugim akcie (miłość Wiązowskiego), nie przyczynia się do ożywienia treści sztuki. Po pierwszym akcie, są to już pod względem teatralnym chybione wysiłki. Długie tyrady nie wzmacniają dramatu *Anny*, chyba, że trzeba było raz jeszcze wypowiedzieć to, co było już dostatecznie wyjaśnione w pierwszym akcie. A może trzeba było usprawiedliwić prawo *Anny* do szczęścia.

*Annę* grała p. Duleba z odrobiną nerwowej przesady, ale przekonywująco. P. Leszczyńska w roli *Dzidzi* (córci) utrafiła w ton i stworzyła typ. Panu Kurnakowiczowi trudno było grać eleganta, kapryśnego nad linią fraka. Justjan, jako mąż, usiłował, niestety bezskutecznie, imitować grę *Kamińskiego*. *Różycki* dość niezręcznie oznajmiał o swoich uczuciach.

Mimo średniego poziomu gry i mimo bezsprzecznych wad sztuki — „Dziękuję za służbę“ zawiera tyle życiowej prawdy i tak zaciekawia tematem, że powinno mieć powodzenie.

H. N.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### JESZCZE JEDNA PLACÓWKA WYKSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO KOBIET

W dniu 1 października r. b. nastąpi otwarcie szkoły gospodarczo-społecznej Stowarzyszenia „Służba Obywatelska“ w Łodzi.

Zapisy przyjmuje kancelarja w lokalu szkoły przy ul. Sienkiewicza 61, III p. od dnia 17 września r. b., w godz. od 9 do 14.

Szkoła uzyskała koncesję z prawami pełnymi szkół państwowych. Szkoła gospodarczo-społeczna w Łodzi ma na celu przygotowanie:

1) zawodowych pracownic burs, sanatorjów, kolonij letnich, ognisk, taniach kuchennych, herbaciarni i t. p. instytucyj społecznych o charakterze gospodarczym. Oprócz wiadomości fachowych, niezbędnych do umiejętnego wypełnienia wymienionych wyżej funkcyj, celem szkoły jest dać swym wychowankom ogólną kulturę społeczną;

2) młodych dziewcząt do prowadzenia gospodarstwa domowego w zakresie potrzeb rodzinnych;

3) dokształcania kobiet w działach gospodarstwa domowego.

Szkoła obejmuje działy:

1) Szkołę i kursy gospodarczo-społeczne, przygotowujące do pracy zawodowej;

2) szkołę i kursy gospodarstwa domowego w zakresie potrzeb rodzinnych;

3) kursy dokształcające wieczorowe,

Nauka w szkole gospodarczo-społecznej trwa dwa lata; w szkole gospodarstwa domowego — 1 rok; kursy — od 1-go do 6-ciu miesięcy.

Program szkoły gospodarczo-społecznej dwuletniej obejmuje przedmioty z zakresu nauk społecznych, zawodowych oraz zajęcia praktyczne.

Zajęcia praktyczne obejmują: zajęcia w kuchni, szwalni pralni i prasowni.

W drugim roku nauki ostatnie sześć miesięcy przeznaczają się na praktykę w instytucjach społeczno-gospodarczych, która ma wykazać dostateczne do pracy zawodowej uzdolnienie.

Program szkoły jednorocznej obejmuje przedmioty teoretyczne i praktyczne. Dla zaznajomienia uczennic z najnowszymi metodami pracy w zakresie gospodarstwa domowego, wprowadzone są następujące przedmioty teoretyczne: teoria gospodarstwa, higiena ogólna, higiena dziecka, pomoc w nagłych wypadkach, towaroznawstwo i chemja życia codziennego, rachunkowość domowa i prowadzenie ksiąg gospodarczych, nauka obywatelstwa, estetyka mieszkań.

Do szkoły dwuletniej zawodowej przyjmuje się uczennice ze świadectwami 6-ciu klas szkoły średniej, względnie wyższych klas. Obowiązuje ukończenie najmniej 17 lat. Opłaty szkolne wynoszą: wpisowe 15 zł., opłata za naukę i zużycie produktów 50 zł. miesięcznie.

Do szkoły jednorocznej przyjmuje się dziewczęta najmniej 14-letnie, po ukończeniu szkoły powszechnej 7-klasowej, lub 4 klas szkoły średniej, względnie wyższych klas. Opłaty wynoszą: wpisowe 10 zł., za naukę i zużycie produktów 30 zł. miesięcznie.

Wobec zastosowania najnowszych metod w pracy, liczba miejsc będzie ściśle ograniczona.

### MONARCHA

#### WYSTĘPUJĄCY JAKO BOJOWNIK RÓWNOUPRAWNIENIA

Nową erę przeżywają obecnie kobiety w Afganistanie, dzięki wpływowi królowej Surji, która skłoniła męża do wprowadzenia zasadniczych reform w życiu społecznym. Przedewszystkiem, na natychmiast po powrocie do Kabulu, król Aman Ullah zwołał zebranie publiczne, na którym zgromadziły się tysiące kobiet. Monarcha wstąpił sam na mównicę, ustawioną pośrodku wielkiego placu, żadna bowiem sala nie mogła pomieścić zebranych, i oświadczył kobietom, iż znosi ich stan niewoli, nakazuje zdjąć „czadry“ (to samo, co czarczał — zasłona turecka) i wzywa kobiety, aby współdziałały z wprowadzonymi przezeń reformami.

Jeżeli mąż, lub którykolwiek z mężczyzn w rodzinie uderzy kobietę, lub będzie ją traktował, jak niewolnicę, król upoważnia ją do jaknajostrzejszego przeciwdziałania i stanie całą swą władzą w jej obronie! Aman Ullah ma nadzieję, że ogół kobiet pracować będzie od tej chwili nad ucwilizowaniem i uspołecznieniem kraju, do czego otrzymają obywatelki afgańskie pełne prawa.

Entuzjazm zebranych był nie do opisania. Trudno się temu dziwić, wobec uciemnienia, w jakim żyły dotychczas kobiety wschodnie. Samo noszenie owej „czadry“ było męką, jest to bowiem gęsta, gruba zasłona, zakrywająca twarz i czyniąca kobietę prawie ślepą. Oprócz twarzy, owija czadra całą postać, utrudnia każdy ruch, cięży nieznośnie i czyni kobietę podobną do ruchowej, szarej płachty. Obyczaj ten jest tem dziwniejszy, że nie ma w Koranie żadnej wzmianki o takim ukrywaniu się kobiet za zasłonami, i do dziś dnia kobiety wiejskie czadry nie noszą, nie mogłyby w niej, bowiem, wykonać żadnej pracy. Jest to więc tylko średnio-wieczna moda mieszczek i kobiet z zamożnej szlachty, której zacofani mułlowie nadali charakter obyczaju religijnego.

Jedynymi kobietami w Afganistanie, mniej zadowolonymi z króla, są damy dworskie. Przywiozły one z Europy niezliczone kufry najmodniejszych strojów. Zaledwie jednak zdążyły je rozpakować, Aman Ullah wydał rozkaz, aby żadna z dam nie używała ubiorów zagranicznych. Owszem, występować mają ubrane po europejsku, ale każdy szczegół toalety musi być wykonany na miejscu, z materiałów krajowych! Ponieważ po obecnym wystąpieniu króla nietylko dwór, ale ogół kobiet przyjmie strój europejski, można sobie wyobrazić, jak podobne rozporządzenie wpłynie na rozwój produkcji przemysłu krajowego.

N. J.



## WYSTAWA HODOWLANA W WILNIE

O ile Targi Północne, zarówno pod względem ilości biorących w nich udział, jak i pod względem jakości towarów, daleko pozostały poza Targami Lwowskimi i Poznańskimi,—o tyle Wystawa hodowlana przewyższyła oczekiwania nie tylko publiczności, lecz poniekąd i samych hodowców. Bo czyż można było się spodziewać po zupełnie zrujnowanej przez wojnę polaci kraju, dopiero od lat siedmiu korzystającej z dobrodziejstw niepodległości, aby jakakolwiek gałąź gospodarstwa rolnego mogła być w niej doprowadzona do bardzo wysokiego poziomu, w szczególności zaś hodowla, wymagająca tak wielkiego nakładu pracy, umiejętności i kapitału? Każdy poszczególny hodowca w duchu myślał sobie napewno: — No, ja to mam kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt sztuk do pokazania; może coś niecoś mają moi sąsiedzi; lecz szeroki ogół nic ciekawego nie wystawi!—I oto się okazało, że tych wystawców ciekawych nie sztuk, lecz obór całych, całych stadnin, całych chlewni,—okazało się tyle, że mając nawet tak wspaniały punkt porównania, jak jubileuszowa wystawa czeska w Pradze, którą oglądałam w maju tego roku,—stałam zdumiona przed tem, co zobaczyłam w Wilnie.

Przedewszystkiem, przed wielką wojną światową na całych Kresach Wschodnich obory składały się z samych szwyców i holendrów. Coś około dwudziestu pięciu lat temu zaczęły się ukazywać pojedyncze egzemplarze bydła rasy duńskiej—„Füne“. Otóż teraz większość gospodarstw hoduje wyłącznie bydło czerwonej rasy krajowej, do złudzenia owe „Füny“ przypominające. Szwycy zniknęły zupełnie, bydła rasy niższej czarno-białej jest już znacznie mniej.

Oczywiście, nie było na Wystawie bydła z zagród włościańskich; natomiast, oprócz większej własności, doskonale prowadzone obory wystawiły sejmiki powiatowe i szkoły rolnicze, co daje gwarancję, że cała młodzież dostanie się do rąk drobnych hodowców i przyczyni się do ogólnego polepszenia stanu bydła w kraju.

Ogromnie trudno dać komukolwiek pierwszeństwo; nie wiem, zresztą, komu przysądzono najwyższe nagrody. Dla mnie interesującym był wysiłek zbiorowy i to, że wystawione zostały nie pojedyncze sztuki okazowe, specjalnie przygotowane na pokaz, lecz całe obory z reproduktorami i młodzieżą. I nie tylko Państwowy Bank Rolny i Sołeczники Wielkie — K. Wagnera, Roś—hr. Adama Branickiego, Związki Hodowców bydła Nowogródzkie, J. Strumiłło, Z. Oskierko, M. Borowska, hr. E. Czapska, M. Bohdanowicz, W. Strawiński i M. Wołczaska oraz szereg innych, których nie potrafię wyliczyć, bo notowałam sobie w miarę tego, jak mi jaka sztuka specjalnie wpadła w oko,—lecz

i od lat kilku dopiero funkcjonujące niższe szkoły rolnicze miały wspaniałe okazy.

Nie zaczęłam od koni, chociaż dział ten zasługiwał na specjalną uwagę. Z koni użytkowych, zimno-krwistych, najwięcej było ogierów, wystawionych przez sejmiki. Rasy pogrubionej, mierzyny, ardeny, żmudziny, gudbransdale, mające uszlachetnić rasę roboczych koników po wsiach i dworach. Ślicznie się prezentowały konie pełnej i półkrwi angiłki i angło-araby. Śliczny, złoty kasztan „Eryk” z Turł Kotwiczów wziął pierwszą nagrodę w dziale ogierów; taż sama stadnina wzięła nagrodę czwartą. Wspaniale się prezentowała stajnia Landwarowska—hr. M. i E. Tyszkiewiczów; stajnie: — H. Kayserlingowej. W. Łaszkiwicz, H. Skinderowej, K. Wagnera, C. Odyńca, śliczna młoda parka W. Żylińskiego. Cztery oryginalne szweddy: Suomen, Hovosjalostusliitojen, Vienti (za wymówienie tej nazwy nie dawano, niestety, medalu),—zresztą wszystkich wymienić trudno, bo brzydkich koni nie było.

W dziale trzody chlewnej dominowała wielka, biała rasa angiłska, z pokrewną jej rasą ostrouchów poznańskich. Było wprawdzie kilka klatek świń rasy krajowej, lecz te brzydkie, o długiej, twardej szczecinie, wysokich nogach, sterczących grzbietach i długich ryjach, stworzenia nie wzbudzały niczyjej sympatii. O rozmiarach hodowli da najlepsze pojęcie to, że nie tylko Państwowy Bank Rolny, lub wielkie, nakładowo prowadzone, gospodarstwa wystawiły po kilkadziesiąt sztuk, lecz i średnia własność, jak Dokurniszki Żylińskich, Jody — Zawadzkich, Pomorzany — Błędowskiego,—dały całe chlewnie, po tyleż, t. j. kilkadziesiąt sztuk liczące, co jest już dowodem, że hoduje się nie pojedyncze egzemplarze wystawowe, lecz że cała hodowla jest wzorowo prowadzona.

Owiec było niedużo; najliczniejszą grupę dały dobra Suchowola — ks. S. Czetwertyńskiego, zresztą nie na Kresach Wschodnich, lecz w województwie lubelskiem położone. Pozatem zasługiwały na uwagę wrzosówki—J. Falewicz, i mele—F. Godlewskiej.

Z psów bodaj że najładniejsze były ślicznej maści kremowej charty p. Skinderowej. Kilka wyzłów—gardon setry i pointery,—coś ze trzy spaniele, kilka jamniczów i jeden St. Bernard—dopełniały niezbyt licznej kolekcji. Jeszcze mniej było kotów. Modne teraz bucharskie i angorskie kicie były smutne i źle utrzymane. Wyjątek stanowiła biała kicia-mama, rozkosznie wylegająca się ze swem potomstwem.

W dziale drobiu najwięcej było gołębi i królików,—te ostatnie, nie wiem, czemu, zawsze do drobiu bywają zaliczane. Z królików najładniejsze niebieskie, wiedeńskie. Gołębie ras ozdoby, o ładnym upierzeniu, ślicznych czubach i kołnierzach. Niestety, dotąd u nas mało się hoduje zwykłych gołębi na rosół i pieczone; i w Wilnie, jak w Warszawie, łatwiej o drogą kuropatwę, niż o taniego, dostępnego naj-

skromniejszemu gospodarstwu, gołębia. Z kur były ładne gniazda Plymouth-Rock'ów, Wyandott'ów, polskich Zielononózek, tak modnych obecnie Rhoad-Island'ów, mniej znacznie Kochinchinek i Langshanów,

Charakterystycznym jest, że kury wystawili poważnie hodowcy miejscy; pomiędzy nimi kilku wojskowych, mieszkających w obozach i koszarach; kaczkę ruańską i pekińską dały dwory; gęsi i indyków-olbrzymów było zaledwie po parze, tyleż perliczek i pawi. Dział hodowli drobiu w ogólności znacznie mniej był bogaty od działu bydła, koni i trzody. Należy zaznaczyć, że we wszystkich działach hodowlanych często spotykamy imiona kobiet; a z jakim zamiłowaniem te panie oddają się swej pracy, najlepiej świadczy powiedzenie p. K., kiedy się dowiedziała, że jej „Eryk“ otrzymał pierwszą nagrodę: „Wyhodowałam go na rękul“

Pani Eżbieta.



## TARGI WSCHODNIE WE LWOWIE

### II

Zaczynamy od woniejącego silnie—nie perfumami Coty'ego czy Houbigant'a, a raczej zapachem swojskiego guyana — pawilonu Wystawy drobiu i królików. Tłok. Publiczność nieświadomiona: — chwali perliczki, nazywając je kurami, zaś okazałe Plymouth-Rocki dostają miano „panterek“. Reprezentowane też są i Zielononózki, i Minorki czarne, i Wyandotty, i Liliputy, i inne. Dalej — gęsi, perliczki, indyki, kaczki—wszystko rasowe. Na kłatkach kartki z imieniem właścicielki-kobiety.

W zacisznym kąciuku tego najkrzykliwszego pawilonu pokazano bogaty plon tej pracy kobiecej nad hodowlą drobiu. Bo to piękne, selekcyjnie hodowane ptactwo dostarcza nam nietylko mięsa i pierza, ale pozatem kury ratują nasz bilans handlowy! Urządzona tu wystawa eksportu jajczarskiego pozwala na dokładny przegląd tego działu handlowego, przedstawiającego dziś już bardzo poważną rubrykę.

We wzorowo urządzonych skrzyniach, wyrobu krajowego, na miękkiej podściółce ze strużek, leżą posortowane według gatunku, wagi i koloru, jaja, obracające się w granicach 50 do 60 kg. na tysiąc sztuk.

Liczne, barwne wykresy, oraz cyfrową statystykę ilustrują piękny rozwój tej gałęzi naszego eksportu. Mapy wskazują rynki zbytu; mimo wojny celnej z Niemcami, które przed kilku jeszcze laty były wyłącznym niemal odbiorcą polskich jaj — wywóz

nie osłabł, lecz przeciwnie, wzmógł się, znajdując sobie nowe kraje, jak Anglja, Francja, Włochy, Holandja, Hiszpanja, Austrja i Czechosłowacja.

Kury polskie zawojowują więc całą prawie Europę zachodnią i południową, a wartość eksportu naszego stale wzrasta.

I tak, gdy w roku 1924 zyskaliśmy za wywiezione jaja 15 i ćwierć milionów złotych, to już w roku 1925 suma dochodzi do 46 i trzech czwartych milj. zł.; w r. 1927 — 92 miliony zł., a w pierwszym półroczu bieżącego roku już blisko 78 milionów złotych w złocie!

Ta mała, niepozorna, zda się, gałąź gospodarstwa wiejskiego zasługuje więc na baczniejszą uwagę naszych ziemianek i gospodyń. Ileż milionów jaj marnuje się u nas wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z niemi! Ile przyszłych kwoczek idzie pod nóż kucharski, jako kurczęta!.. A ile kur, niosących się słabo, albo dających jaja nieodpowiednie pod względem handlowym, karmi się niepotrzebnie, zabierając poślad, mogący być zużytkowany dla sztuk rasowych, wartych zachodu i pracy koło nich, opłacających sownie cały nakład! Udoskonalenie chowu kur, silnie nośnych, umiejętność przechowywania i pakowania jaj wymagają solidnego i zgodnego współdziałania sfer zawodowych, a więc Kółek Rolniczych, Związków Ziemianek, Szkół Gospodarczych i t. d.

I jeszcze jedno: eksportem jaj z Polski zajmują się firmy nie polskie. Możeby kobieta polska ujęła handel ten i eksport w swe ręce?

\* \* \*

Króliki reprezentowane są dość skąpo, zato przez bardzo ładne okazy rasy Hawańskiej (bobry), Flandryjskie olbrzymy i wiedeńskie. Zwierzęta te, tak rozpowszechnione wszędzie zagranicą, u nas jakoś nie cieszą się powodzeniem. A szkoda! gdyż trud przy hodowaniu ich nie jest duży, zadawalniają się strawą niewybredną, przynosząc hodowcom swym znaczny dochód w postaci smacznego i zdrowego mięsa, oraz skórek, które, wyprawione i farbowane umiejętnie, imitują drogocenne bobry, foki, krety i t. d. We Francji mięso królicze stanowi ulubiony przysmak i zastępuje ową „kurę na niedzielę“, o której marzył dobry król Henryk IV, by każdy poddany jego mógł ją mieć w garnku. Zaś futro królicze, ochrzczone mianem lamparciego, czy sealskinów, zdobi paryską elegantkę. Racjonalna hodowla królików w naszym kraju może również poprawić nasz bilans. Ale czy także będziemy czekać, aż ktoś obcy zorganizuje to u nas i będzie ciągnął zyski?

\* \* \*

Wystawa bydła rogatego, zorganizowana przez Małopolskie Tow. Rolnicze, zgromadziła około 250 okazów ras: a) nizinnej srokatej, b) Simentalskiej, c) rasy czerwonej polskiej. Trzodę chlewną pokazał

nam „Wielkopolski Związek Hodowców Trzody chlewnej“ rasy wielkiej białej ostrouchej, zaś Województwo Lubelskie, oraz „Związek hodowców trzody przy Oddziale Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego we Lwowie“ — rasę angielską wielką białą. Oczarnie zarodowe baranów-merynosów (Merino Precos) i baranów-karakulów przysłało Województwo Lubelskie.

Jako wielki plus tegorocznego Targu była hodowlanego, zaznaczyć należy katalog, wskazujący na istotnie racjonalnie prowadzone obory. Katalog ten podaje, prócz szczegółowego rodowodu rasy i nazwy danego okazu, szczegóły bardzo ważne, jak np.: ile dni dana krowa się doiła, ile dała kg. mleka, z jaką zawartością tłuszczu i t. d.

Wystawa była przynosi chlubne świadectwo pracy kobiety polskiej. Od czasu wojny dużo się zrobiło w tym dzwigniętym z ruin i gruzów kraju — ale wiele, o wiele więcej jeszcze pozostaje do zrobienia, by nie pozostać wtyle za innymi narodami.

*Janina Łada Walicka.*

## ESTETYKA WYSTAWY SKLEPOWEJ

Dla ożywienia poważnych draperyj aksamitnych (tylko dwa materiały, asymetrycznie udrapowane w poziomo-podłużnym oknie) rzucono barwny naszyjnik i bransolety w tonie kwiatów, ułożonych w kontrastowym wazonie (rys. 4).

W magazynie jubilerskim małe witryna, a w niej dwie grupy po trzy modne bransolety — dobrane w cha-

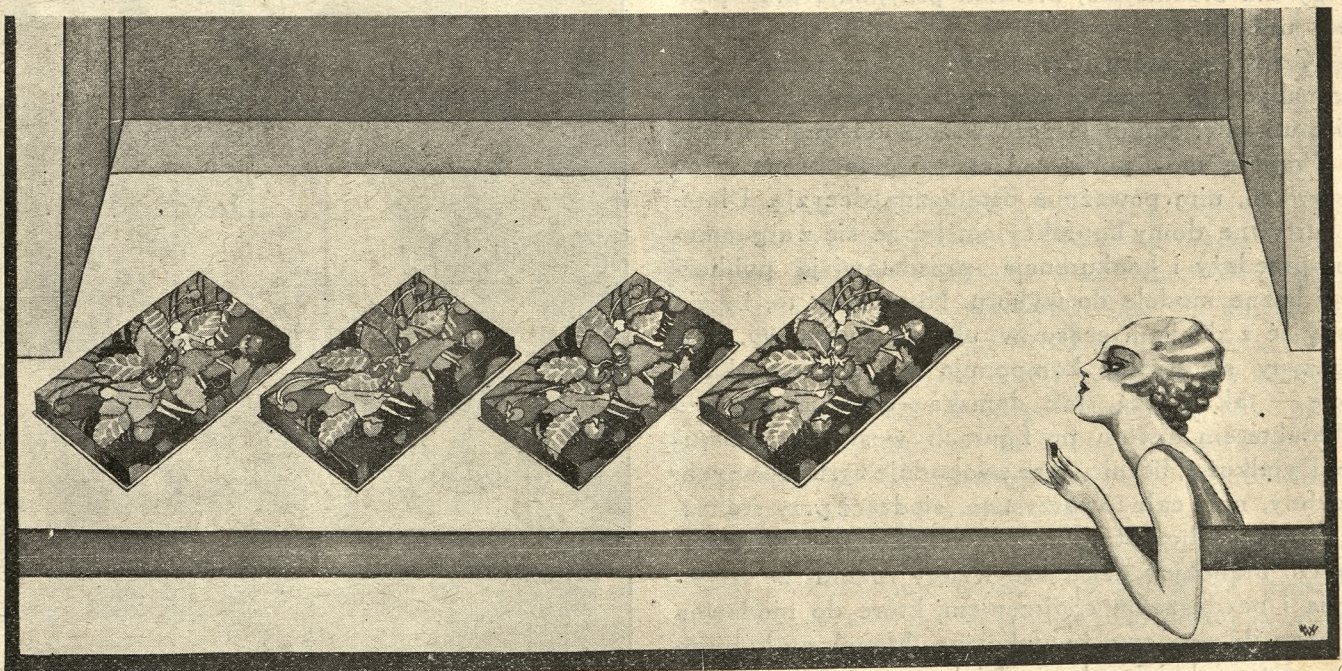
rakterze ciężkie łańcuchy z kaboszonami (Bruksela). Jest to korzystniejszy sposób przedstawienia biżuterji, niż nagromadzenie jej w nadmiarze, który gubi wszelkie klejnoty. Fabryka Coty'ego (Paryż) wśród wielkiego okna wystawy umieszcza kilka flakonów z perfumami, na tle wspaniałych zwojów brokatu. Wystawa świeci pustką — i wyrazem. Ale na taki wyraz, niestety, tylko światowa firma może sobie pozwolić.

Cukiernie zagraniczne — jak zresztą i nasze pierwszorzędne firmy — wystawy swoje dekorują w podobnym stylu. Na pierwszym planie dużej witryny ułożono szeregiem bombonierki; w głębi piękny wazon, napełniony kwiatami. Bombonierki i wazon harmonizują w stylu, np., sewrska waza do bombonierek rokokowych. Także laleczki stanowią tu odpowiednie dopełnienie: ich nieco konwencjonalna — „cukierkowa“, jak mówimy — słodycz podkreśla charakter towaru. W Paryżu cukiernie niekiedy samymi lalkami dekorują wystawę: duże na pół metra i mniejsze.

Specjalnością Brukseli są kokardy z wstążek jedwabnych. W dwu witrynach cukierni ugrupowano po trzy szeregi identycznych pudełek na pralinki, owalnych, z motywem *moderne* i kokardą wstążki do tonu. Wśród tego — laleczki w krynolinkach, barwy kokard.

Na pierwszym planie innej wystawy, całej w kolorze lila, królowała olbrzymia poduszka jedwabna z dużym węzłem kokardy, a na poduszce trzy małe, szare kotki z wprawionymi zielonymi oczkami. Kotki wykonane były tak artystycznie, że robiły wrażenie żywych.

Nasz projekt (rys. 9) przedstawia dolną część wystawy, ożywioną laleczką woskową. Charakterystyka i biała peruczka łąki dostraja się do stylu barw-



Rys. 9. Projekt wystawy cukierniczej



Rys. 10. Grupa jarzyn na Targach Wschodnich.

nych pudełeczek, ułożonych w szereg. Przeznaczenie pudełek uwidocznione przez ruch lalki, która niesie do ust czekoladkę, opierając się ramieniem o aksamienną poręcz. Poręcz służy zarówno do zamaskowania podstawy lalki, jak dla sugestji łoża teatralnej. Jeśli zależy na podkreśleniu tej sugestji, tło wystawy stanowić będzie jednolicie barwna (purpurowa) zasłona. W przeciwnym razie nawet wewnątrz cukierni może być widoczne przez jednostajną szybę; wówczas jednak odgraniczymy kompozycję wystawy wyraźną linią poziomą.

Z wymienionych przykładów widzimy, jak umiarkowaną ilość towaru ukazują witryny pierwszorzędne. Sklepy dla biedniejszej klienteli przyjmują inne podstawy układu.

Człowiek, który musi liczyć się z groszem, a pragnie nabyć np. ubranie, chce widzieć na wystawie rozmaite ubrania, zanim jeszcze wszedł do wnętrza sklepu. Pragnie móc porównać ceny i gatunki na kilku wystawach, nim poweźmie ostateczną decyzję. Dlatego hurtowne domy konfekcyjne, licząc się z argumentem sprzedaży i konkurencją, przedstawiają publiczności liczne modele do wyboru. Nie znaczy to, by nie miały iść z duchem czasu w układzie wystawy. I te magazyny swobodnie komponują swoje okna. Konfekcję — tak męską, jak damską — ukazują zgodnie z charakterem towaru na figurach woskowych naturalnej wielkości, licznie, lecz swobodnie zgrupowanych. Widzimy, np., całe towarzystwo, siedzące przy stolikach i pijące herbatę — w pozach jaknajbardziej naturalnych. Manekiny dzisiejsze wzięły rozbrat ze sztywnością i bezdusznym spojrzeniem; które do niedawna tak szpeciły wystawy konfekcyjne. Manekiny kobiece mają gest miękki i pełen wdzięku, a przedstawiając panie młodsze, starsze, nawet siwe, do złudzenia na-

śludują rzeczywistość. Figury męskie, modelowane charakterystycznie, dają typy ludzi różnych zawodów i warstw społecznych. Zyskuje na tem zarówno wystawione ubranie, jak różnorodność form w oknie.

I Oprócz względów na psychologię kupującego, natura towaru może zorientować w kierunku bogatej kompozycji. Podajemy, jako przykład, grupę jarzyn z nasion lwowskiej firmy Edmunda Riedla na Targach Wschodnich w r. 1924. Bujność i obfitość form była konieczna dla zadokumentowania pięknego urodzaju. Kilim, rozpięty na ścianie, spaja układ w całość względnie symetryczną, a jakkolwiek zasadniczo niemożna pochwalić umieszczania w tle wzorzystych dywanów — tu kilim jest na miejscu, z uwagi na ludowy ornament, związany asocjacyjnie z produktami ziemi (rys. 10.)

Pochodzenie towaru również wywiera wpływ na kształtowanie wystawy i wybór środków pomocniczych. Stoisko herbat Riedlowskich (rys. 11) na Targach Wschodnich w r. 1926, skomponowane z uwzględnieniem pochodzenia herbaty, przedstawia gościnnych chińczyków pośród grup paczek z herbatą, na tle charakterystycznych mat, waz, lampjonów i ekranu świetlnego.

Wspomnieliśmy już o kilku środkach pomocniczych w dekoracji witryn, t. j. o draperjach, obiciach i zwierciadłach, o manekinach i lalkach. Pozostają płaszczyzny pomocnicze, jak stopnie (rys. 8) i pła-



Rys. 11. Wystawa herbaty na Targach Wschodnich

szczyzny poziome oraz pionowe (rys. 6—wystawa galanterji Braci Leworskich), stelaże, połączenia optyczne, wreszcie środki dekoracyjne, jak: obrazy, plakaty, napisy, wazony kwiatowe i inne ozdoby. Środki pomocnicze korzystnie rozwijają muzykę linii i grup, jeżeli zostały użyte harmonijnie.

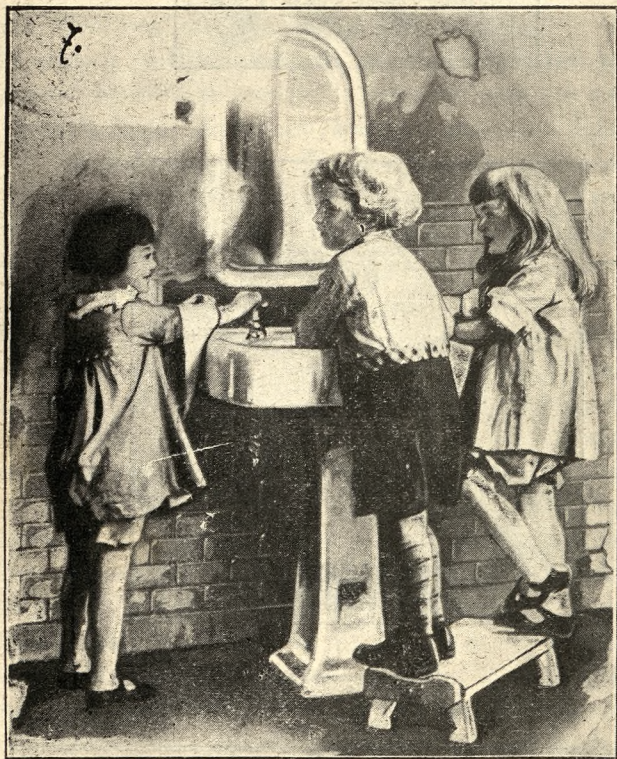
(d. c. n.)

Helena Wolska.

## CIEKAWY WYNALEZKI

Wiemy, jak trudno utrzymać przez czas dłuższy pieczywo w stanie świeżości. Wszelkie owijanie w papier woskowy, w serwetki, prymitywne chowanie go w naczynie kamienne lub blaszane — zapobiega tylko częściowo wysychaniu ciasta, ale nie jest zupełnie wystarczające. Pomysłowy wynalazca przedstawia nam na rys. 1 rodzaj pudełka metalowego, którego spód z chwilą zdjęcia pokrywy, jest tacką do podawania, a szczelnie pasujący wierzch, zamknięty hermetycznie zapomocą sprężynowego zameczka, nietylko chroni zawartość od wyschnięcia, ale po przyłączeniu z dwóch boków widocznego na rycinie pałączka, może służyć, jako koszyk na wycieczkę.

Bardzo pożytecznym jest urządzenie kociołka (rys. 4). Cały ze szkła, niepekającego przy wysokiej temperaturze, oprawiony w ogniotrwały metal, ochraniający dno szklane, zapomocą odpowiedniego urządzenia służy do gotowania na parze mięsa i innych produktów, dając możność zachowania w nich wszelkich części pożywnych. Produkty, ułożone na ruszcie, wstawionym na dno kociołka, nie ulegają przypaleniu.



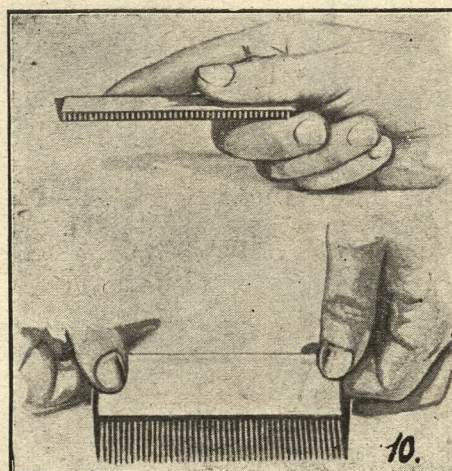
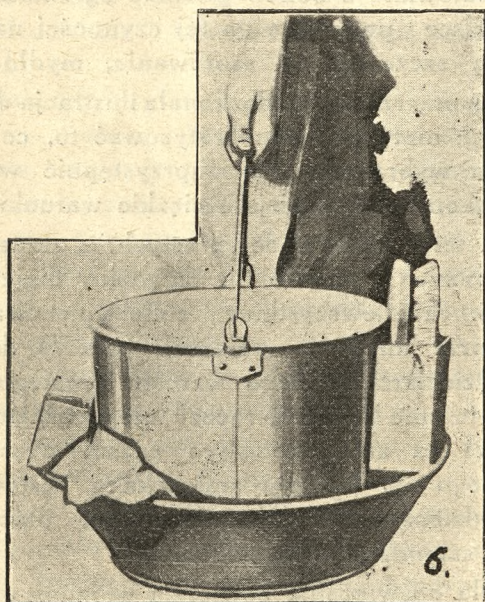
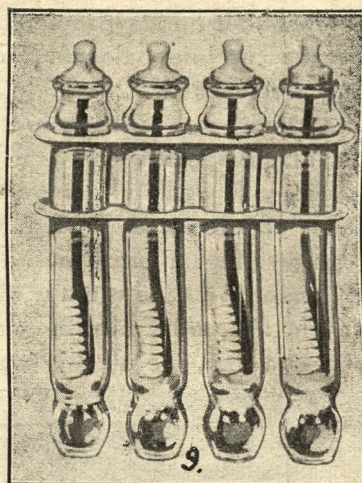
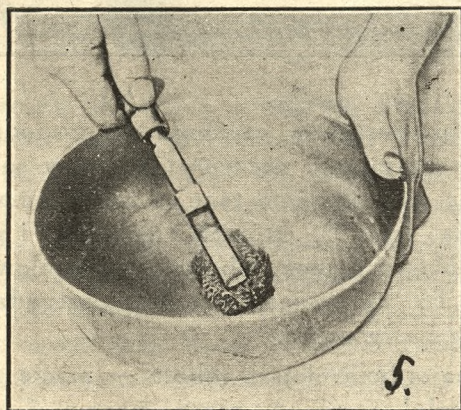
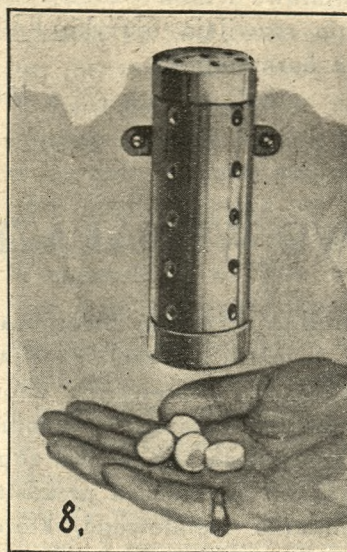
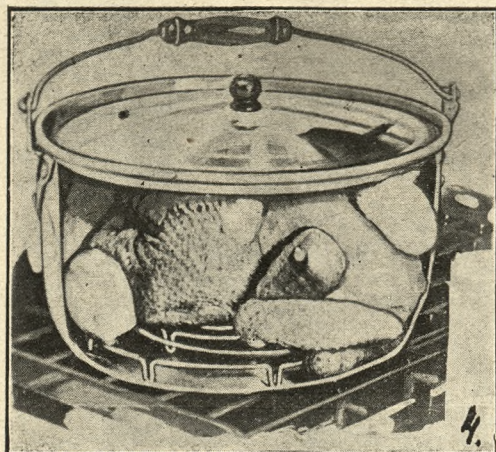
Najprzykrzejszą czynność w gospodarstwie domowym — zmywanie naczyń — ułatwiamy sobie, zabezpieczając równocześnie ręce od zniszczenia, zapomocą narzędzia (rys. 5), któremu chwytamy i przytrzymujemy gąbkę, gałganek, albo wiórki metalowe do szorowania. To skromne narzędzie oszczędza nietylko ręce, ale i siły nasze.

I najordynarniejsza robota — mycie podłóg — nie została zlekceważona przez postęp i organizację. Oto kubełek-miska (rys. 6), którego wnętrze napełnione jest czystą wodą — miska służy do brudnej, a przylutowane z boków pudełka zgromadzają w jedno miejsce potrzebne do tej czynności narzędzia — a więc szczotkę do szorowania, mydło i ścierki.

Te przyrządy — to doskonała ilustracja dzisiejszych dążeń: nietylko zdemokratyzować to, co było przywilejem wybranych, ale i uprzystępnąć wczorajszym wybrankom losu dzisiejsze ciężkie warunki bytu.

A teraz kilka nader prostych, a zarazem bardzo praktycznych pomysłów z dziedziny higieniczno-tualetowej. Przedewszystkiem, stale umocowany do podłogi przy miednicy stołeczek (rys. 7), dający możność dzieciarni różnego wzrostu częstego mycia samym wiecznemu brudnym rączek, nie narażając opiekunki i matki na stratę drogiego czasu. Prosty pomysł przybitego do podłogi stołeczka z zastawką, chroniącą dziecko od ześlizgnięcia się, umożliwia mu częste samodzielne mycie łapek.

Dla odświeżania powietrza widzimy okrągłą blaszaną dziurkowaną tubkę (rys. 8), którą wieszamy za uszka na wbitych w ścianę gwoździkach. Napełniona wonnemi tabletkami, rozsiewa miły zapach w pokoju.



Do przyborów, godnych rozpowszechnienia, należy powieszony w łazience przyrządek szklany do szczotek do zębów (rys. 9); dno jego zaopatrzone jest w środek dezynfekcyjny, który przez parowanie zabija bakterje, znajdujące się w szczoteczce.

Wkońcu nader praktyczny sposób czyszczenia grzebieni zapomocą metalowej składanej pochewki, zaopatrzonej z jednej strony w poprzeczne cienkie ząbki (rys. 10). Złożona ku górze, stanowi oprawkę grzebienia, opuszczona ku dołowi—czyści go owemi poprzecznymi ząbkami.

J. S.

## OBIADY NA MASZYNCIE

### 1) OBIAD POSTNY NA 3 OSOBY:

Zupa z ryby z makaronem.  
Okonie z jajami i kartoflami.  
Ryż z morelami.

Ugotować dwa jaja na twardo (kładąc je w zimną wodę, gotować pięć minut od chwili zagotowania, poczem zanurzyć je znowu w zimnej wodzie, aby łupinki łatwo się dały usunąć). Filizankę ryżu zalać czterema filizankami wody, zagotować, włożyć łyżeczkę masła, gotować na bardzo wolnym ogniu, aż ryż zmięknie i woda zniknie; wyłożyć ryż na duży talerz, formując w środku nieduże zagłębienie. Pięć deka suszonych moreli namoczyć poprzedniego dnia wieczorem. Pół szklanki cukru zagotować z wodą od moreli i kawałkiem wanilji (pół cala wystarczy), wrzucić rozmoczone morele, dać raz zawrzeć, wylać na ryż w taki sposób, aby morele były pośrodku, a syrop oblał cały ryż. Wystawić na godzin parę na chłód.

Dwanaście dużych kartofli obrać, przekrajać na pół, wstawić w zimnej wodzie i gotować; gdy się zagotują, osolić; knoty nieco przykryć i gotować dalej wolno, aż kartofle zmiękną. Wodę odlać, kartofle starannie przykryć i wstawić w papierowe gniazdo. Trzy spore okonie (wagi razem około trzech ćwierci kilo), oczyszczone z łuski i wnętrzości, osolić wewnątrz i zewnątrz i dać im tak poleżeć.

Nastawić półtora litra wody z marchewką, pietruszką, cebulą, pieprzem i listkiem; gdy włoszczyzna miękka, włożyć dziesięć deka dobrego makaronu; gdy makaron prawie miękki, włożyć ryby. Ogień zwiększyć, gotować mocno, aż ryby od ości odstawać będą; wtedy je wyjąć na półmisek, przykryć w kilkoro złożoną serwetą, aby nie wystygły. Jaja tymczasem należało drobno posiekać; w mały rondel włożyć łyżkę dobrego masła, rozpuścić, dodać trzy łyżki rosółu z ryby, usiekane jaja i wstawić w gniazdo. Do zupy włożyć pół szklanki dobrej śmietany, rozbitej z małą łyżką mąki, raz zagotować. Rybę obłożyć kartoflami i polać przed podaniem jajami i masłem, lub też podać

sos ten oddzielnie w salaterce. Okonie są rybą bardzo ościstą, należy więc jeść je bardzo ostrożnie. W smaku są wyborne i dają bardzo smaczną zupę.

### 2) OBIAD POSTNY NA 3 OSOBY:

Buljonik grzybowy z kaszką krakowską.  
Sielawy smażone z kwaszoną kapustą.  
Jabłka duszone.

Pół szklanki drobnej kaszki krakowskiej (maczku) ugotować w dwóch szklankach wrzątku, osolić; gdy kaszka dobrze się rozgotuje i zgęstnieje, wyłożyć ją na talerz, rozsmarować na grubość palca i zastudzić. Pół kilo dobrej, kwaszonej kapusty posypać łyżką cukru, polać dwiema łyżkami świeżej oliwy, wymieszać i pozostawić tak godzinę, mieszając od czasu do czasu, aby się cukier rozpuścił.

Oczyścić i pokrajać w drobne paski sporą marchew, małą pietruszkę, kawałek selera i sporą cebulę; włożyć w rondel z trzema młodemi suszonymi grzybkami, zalać półtora litrem wody, zagotować; wrzucić listek, parę ziarn pieprzu, osolić do smaku i gotować, aż grzybki i jarzynki zmiękną; grzybki wyjąć, pokrajać w paski, wrzucić napowrót i zupę z garnczkiem wstawić w gniazdo.

Trzy bardzo duże jabłka (antonówki, szare renety), wagi około pół kilo, wydrążyć ostrym nożem, aby usunąć ziarnka, nie przedziurawiając ich do dna; łyżkę cukru zmieszać z utartym gorzkim migdałem, lub odrobiną tłuczonego cynamonu i łyżeczką masła; masą tą napełnić otworki w jabłkach. Jabłka włożyć w mały rondel, zalać do połowy ich wysokości wodą, wsypać trzy łyżki cukru, przykryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu, aż wody pozostanie tylko trochę na dnie; rondel z jabłkami wstawić w drugie gniazdo.

Około trzech ćwierci świeżych sielawek oczyścić z wnętrzości i drobnych łusieczek, osolić, utarzać w masce. Rozpuścić na patelni sporą łyżkę masła, kłaść na nie rybki, smażyć narazie na większym ogniu, zrumienić z obu stron, przełożyć na talerz, smażyć następne. Gdy wszystkie gotowe, złożyć napowrót na patelnię, przykryć talerzem i postawić na bardzo małym ogniu, aby jeszcze dobrze doszły.

Kaszkę wystudzoną pokrajać w kostkę, wrzucić w zupę, włożyć łyżeczkę dobrego, śmietankowego masła i, jeśli jest, szczyptę koperku, chociażby suchego; rybki zdjąć z ognia, zupę nieco przygrzać, aby kaszka się ogrzała i masło rozpuściło, poczem zaraz podawać. Jabłka duszone też się podaje gorące. *Pani Elżbieta.*

**Przy cierpieniach serca i zwapnieniu naczyń**, skłonności do udaru i ataków apoplektycznych, naturalna woda gorzka „Franciszka Józefa” zapewni łagodne wypróżnienie bez nadwyrężania się. Naukowe spostrzeżenia kliniczne przy chorobach naczyń krwionośnych dowiodły, że osobom w starszym wieku woda gorzka „Franciszka Józefa” oddaje nieocenione usługi.

Żądać w aptekach i drogerjach.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

## POMIDORY FASZEROWANE

Dziesięć dużych, jędrnych pomidorów umyć, osuszyć, ściąć z nich wierzchy, wybrać łyżeczką ziarenka, osolić lekko we środku. Ugotować trzy łyżki ryżu na sypko, nie rozgotowując go zanadto. Dwie spore cebule, najlepiej hiszpańskie, pokrajać drobno i udusić, nie rumieniąc, z łyżeczką masła lub szmalcu. Dziesięć deka wędzonej słoninki, lub tłustego boczku pokrajać w drobną kostkę, dodać do cebuli, potrzymać na ogniu, aż się słonina zeszkli, wymieszać z ryżem, posolić do smaku, dodać nieco pieprzu lub łagodnej papryki. Napełnić tem pomidory, przykryć ściętymi wierzchami. W płaskim rondelku rozpuścić sporą łyżkę masła, ułożyć pomidory jeden obok drugiego, przykryć pokrywą i dusić wolno, od czasu do czasu podlewać wodą lub rosółem, aby pomidory do dna nie przywarły. W pół godziny mają dosyć. Podawać w tem samym naczyniu.

## CHAUD-FROID Z KUROPATW

Można na nie użyć sztuk nieco starszych, jednak z młodych zawsze masa będzie delikatniejsza. Sztuki porwane i pobite mogą też być zużytkowane na chaud-froid, należy tylko starannie usunąć z nich śrut, aby nie połamać maszynki do mięsa i zębów biesiadników. Na każdą kuropatwę wziąć piętnaście deka przeraśniętego, wędzonego boczku i dusić razem, aż kuropatwy i boczek zmiękną. Dodać przedtem kilka dużych, hiszpańskich cebul; gdy i one zmiękną (pół kilo cebul na 3 kuropatwy), wyjąć wszystko z rondla. Wsypać dobrą łyżkę mąki, wlać śmietany tyle, aby sos był bardzo zawieszisty, raz zagotować. Obrąć starannie mięso z kuropatw, przepuścić przez maszyn-

kę wraz z boczkiem, cebulą i sosem. Powtarzać to ze trzy razy, aż masa się stanie gładka, jak masło. Jeśli kto ma pieczarki, niech udusi ich sporą garstkę wraz z kuropatwami, co bardzo doda smaku. Masę osolić, popieprzyć, dodać, kto lubi smak ostry, nieco sosu „cabul“. Na kostkach piersiowych ułożyć z tej masy jakby całe piersi kuropatwy. Jeśli rozporządząmy truflami, położyć po obu stronach piersi po plasterku trufla, poczem polać kilkakrotnie następującą galaretką. Kostki kuropatw zalać wodą, aby tylko objęło, wygotować z nich, z dodaniem kawałka marchewki i pietruszki, parę łyżek rosółu. Zaprawić ten rosół karmelem na ładny, złocisty kolor, osolić do smaku. Rozpuścić w nim żelatynę, biorąc na każdą łyżkę rosółu listek białej żelatyny. Stygnącą już galaretką polewać chaud-froid, aby uformować cieniuchną warstwę. Ułożyć ptaki na półmisku, obłożyć wkoło jakąkolwiek sałatą i podawać z sosem majonezowym, lub tatarskim, jako wykwintną przekąskę.

## SZARLOTKA ZE ŚLIWEK

Pokrajać czerstwą bułkę w kawałki grubości palca, zmoczyć mlekiem z rozbitem w niem całym jajkiem (jedno jajko na szklanę mleka). Niewysoki rondelk wysmarować grubo masłem, wysypać tartą bułeczką, dno i ścianki rondla wyłożyć szczelnie temi grzankami, pozostawiając około trzeciej ich części na pokrycie. Śliwki, węgierki, podzielić na połówki, nie zdejmując z nich skórki, stłuc kilka pestek i ziarenka z nich dodać do śliwek. Wymieszać śliwki obficie z cukrem i odrobiną cynamonu, napełnić szarlotkę. Pokryć resztą grzanek, na wierzch położyć parę kawałeczków masła i wstawić do średnio gorącego pieca na trzy kwadransy (więcej lub mniej, za leżnie od rozmiarów szarlotki). Gdy się ładnie zmieni, wyrzucić na półmisek i posypać obficie cukrem pudrem z cynamonem. Na gorąco i na zimno jest równie smaczna,

Pani Elżbieta.

## „WINA OWOCOWE“

KSIĄŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM  
DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, War-  
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności  
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.  
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM  
HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom. „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higijenne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rybarska 8 tel. 244-16.